Nr. 20 (1064). Warszawa, dnia 5 (18) Maja 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

450 milionów.

„Osiem tysięcy Francuzów zbiera się nad morzem dla odpłynięcia do Europy"; „Wojska rosyjskie powracają do Portu Arthura"; „Gen. Chaffee opuścił już okręgi miasta, które wojskami swemi zajmował" — wiadomości te zapowiadają blizki już koniec działań wojennych, nawet samego pobytu wojsk cywilizacyi w kraju barbarzyństwa. Jeżeli mogły być jakie namysły, po wycieczce p. Delcassé'go do Petersburga wierzyć w nie już nie wolno. Francya pójdzie zupełnie ręka w rękę na tej przechadzce chińskiej, tak dla świata jako symptomat i zapowiedź ważnej, a wzamian może być pewną, że jej apetyt na Marokko znajdzie okoliczności przyjazne, które mu nasycić się pozwolą; znajdzie i coś więcej w potrzebie: Egipt, który Francya, w niezdarności swej i wówczas jeszcze (1882) niedostatecznej powadze i sile międzynarodowej, wydrzeć sobie pozwoliła, może znowu wytworzyć kwestyę otwartą jak za wyprawy Bonapartego, w epoce, kiedy myśl polityczna potrzebowała tylko lepszego odrazu poparcia materyalnego, aby geniuszem wojskowym zwyciężyć i następcom przekazać już fakt spełniony. Kolos angielski nie wytrzymałby natarcia i na interesa Albionu w Chinach, i na posiadanie terytoryalne w krainie faraonów, i wreszcie — *last not least* — na panowanie w Indyach.

Zamiarem mocarstw, samej nawet Anglii, jest jak najszybsze wycofanie się z operacyi zbrojnej w Chinach. Najsilniej dążenie to objawia się w Rosyi; tylko że dla tego mocarstwa Chiny kończą się na Morzu Żółtem i na północnym, kamiennym i palisadowym, murze chińskim. Zajęcie Mandżuryi jest faktem, którego nic już nie wzruszy: lord Cranborne, któremu w największej ulewie wypadało dla własnej godności być suchym, mógł sobie w Izbie gmin zapewnić, że gdy się stosunki w Chinach uspokoją, zajęcie ustanie. Rosya wie lepiej, co ustaje a co nie; co było chińskiem, a co stało się rosyjskiem, i nie lekceważąc form dyplomacyi, których znaczenie w życiu dziejowem określa sama natura ludzka, w życiu powszedniem czynna, niestrudzona, niezapominająca się nigdy, w popędach swych dla samej siebie nieomylna — postara się o wyciśnięcie na fakcie militarnym dyplomatycznej pieczęci. Do tego potrzebne jest oczyszczenie placu — głównie z Walderseego i jego Niemców. Gdy sama na nim pozostanie, sprawa niezmiernie się uprości, rozjaśni. Oko w oko z Chinami załatwi się wszystko i prędzej i lepiej. Chiny znajdą przyjaźń tam, gdzie widziały uczestnictwo w najeździe i zabór; doznają pomocy pod niejednym względem w zamian za utratę prowincyi, której i bez zawieruchy obecnej długo utrzymać by nie zdołały. Przedewszystkiem Rosya może im wyświadczyć przysługę w spłacie kosztów wojennych.

A koszty są ogromne: nie 40 mil. f. st., jak chcieli Conger i Chaffee, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i sam rząd wielkiej rzeczypospolitej, nie 60 milionów, jak donoszono, wskazując kwotę już najwyższą, ale 450 mil. taelów. O takiej wysokości strat i ciężarów poniesionych przez Europę przywracającą porządek, zawiadomiło kolegium posłów rząd chiński d. 11 b. m. Uwierzyć by nie można, gdyby doniesienie urzędowem nie było. Są dwa główne typy taelów w Chinach: większy, haikuański, wartość 5 fr. 94 c., i mniejszy, szanhajski, 5 fr. 32 c. Wybierzmy mniejszy, powszedniejszy, logicznie dla nas prawowitszy: 450 mil. taelów mniejszych, to 2 miliardy 394 miliony franków — niewiele braknie do połowy tej największej kontrybucyi jednorazowej w dziejach nowożytnych, któremi Niemcy chciały bojowo i politycznie już powaloną Francyę, ekonomicznie zmiażdżyć—jak się Bismarckowi w pierwszej chwili marzyło. Chiny, przy swoim obozowym, czy stepowym jeszcze systemacie podatkowym, będą ciężko na długie lata przytłoczone — jeśli im nie dopomoże Rosya. Poruszono już myśl zbiorowego dostarczenia pożyczki. Oświadczyła się za nią Rosya, popiera ją i Francya, odpycha od siebie Anglia — w imię jakiejś zasady wrzekomo niepozwalającej narodom ekonomicznie silnym parać się z ekonomicznie słabemi.

Myśl ta zbiorowej pomocy ma przed sobą przyszłość. Wewnętrzna pożyczka chiń-

ska, po ruinie wojennej, przy zamęcie i odśrodkowości, coraz silniej wskutek znikczemnienia rządu występującej — należy do rzędu nieprawdopodobieństw. Własne środki skarbu, metody i polityki skarbowej chińskiej nie wystarczą. Skarb ten z 400-milionowego społeczeństwa, a raczej z olbrzymiego skupienia społeczeństw, może obecnie mieć 75 mil. taelów, tj. około 400 mil. fr. Ponieważ same długi wynoszą 1 miliard 450 mil. fr., a najłagodniej liczony procent 58 mil., potrzebaby podnieść podatki o $^1/_4$, tj. do 500 mil. fr., aby bez pożyczki długoterminowej Chiny mogły wybrnąć z błota. Spłata w ciągu lat 15-tu, jak podobno zalecają sami Chińczycy, dałaby się urzeczywistnić tylko w razie zupełnej reformy, zupełnego odrodzenia i państwa i społeczeństwa i narodu, a na to bynajmniej się nie zanosi.

Jan Miquel.

Nazwisko męża, który opuścił scenę polityczną Niemiec, będzie żyło długo w pamięci i ustach ludzkości. O Bismarcku mówiono, iż jest Attylą dziewiętnastego stulecia, nazywano go drugim Talleyrandem i Macchiavelim. Nadaremnie wszakże usiłowano odnaleźć w dziejach ludzkości pierwowzorów i poprzednika Jana Miquela, nadaremnie chciano go przyozdobić honorowym przydomkiem historycznym. Nazywano go tylko Miquelem. I dopóki będą istnieli zaprzańcy, którzy zmieniają niby wyszarzały garnitur swe przekonania, z lekkiem sercem wyrzekają się ideałów, za które idziemy w ogień i wodę z zamkniętemi oczyma i modlitwą dziękczynną na ustach, dopóty ludzkość będzie pamiętała o owym niedościgniony okazie sztuki żonglerskiej, którą uosabiał Miquel. Bismarck na scenie politycznej nosił pikelhaubę, Miquel występował w masce.

Żelazny kanclerz pobrzękiwał szablą, genialny minister skarbu wydzwaniał, niby owi artyści z tingel-tanglów, dzwoneczkami błazeńskimi wszelkie melodye swego uniwersalnego repertuaru politycznego, zaczynając od „Marsylianki“ i kończąc na *Deutschland Deutschland über alles*. W jego życiu „wszystko płynęło.“

Bohater nasz urodził się w r. 1828, a zatem liczył w burzliwym 1848 roku lat 20. Nosił on wówczas kapelusz o szerokiem rondzie, miał długie włosy w oczach zaś groźne błyskawice światoburcze. Nie było dnia, aby nie cytował klasycznej zasady: „Fiat justitia, pereat mundus,“ a za przykładem Platona umieścił nad drzwiami swemi wymowny napis: „Niechaj nie wchodzi ten, kto wierzy w pojednanie.“ „To też nazywano go z tej racyi Miquelem nieprzejednanym, przyczem inni tytułowali go jeszcze Robespierrem lub Babeufem.“ Gdy we Frankfurcie nad Menem minister pruski, przypadkowo obecny na zebraniu, na którem młodociany Miquel nawoływał do ruszenia świata z posad, zagadnął pana Jana, czego właściwie chce, ten odpowiedział krótko: „Niechaj ostatni będą pierwszymi.“

Miquel został doktorem prawa. Kapelusz garibaldyjski zamienił na akademicki, a czerwony krawat jako człowiek stateczny, zastąpił czarnym, jedwabnym. Sam on wszakże zupełnie się nie zmienił, tylko drogą myślenia doszedł do innych, logiczniejszych wniosków. „Nie w burzy lecz w cichym powiewie wiatru znajduje się Bóg,“ powtarzał on teraz za Biblią przy spotkaniu z byłymi współbojownikami, i zaczął się ich wstydzić jako półgłówków, którzy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Zaprzyjaźnił się wtedy z Schultze - Delitzschem, ojcem kas oszczędnościowych, czytywał Smilesa, zakładał stowarzyszenia przeciwżebracze, trudnił się dobroczynnością i jako adwokat załatwiał sprawy parcelacyjne tych samych chłopów, którym przewodniczył uzbrojony w kosę i widły w 1848 roku. Jego cicha, mrówcza działalność, idylliczne i pojednawcze usposobienie, zdrowe poglądy i trzeźwość dojrzałego męża zyskały dla niego obecnie tak dalece powszechny szacunek, iż powierzono mu, jako prawdziwie liberalnemu mężowi, wysoki urząd burmistrza w Osnabrücku. Teraz dopiero zrozumiał on, iż najwyższa zasada społeczna, zasada syntetyczna, albowiem godząca wszystkie sprzeczności, brzmi: „Festina lente.“ Teraz dopiero odzyskał pogodę ducha i zadowolenie; w duszy dźwięczały mu hymny radości i wtedy to ogłosił z powodu kas oszczędnościowych artykuł p. t. „Ewolucya, nie rewolucya.“

Lecz zaledwie Miquel przybił do portu ostatecznej stateczności i wszechradości, gdy burza zagnała znowu łódź jego w wir fal życiowych.

Pod ożywczym deszczem zabranych Francuzom w 1870 roku pięciu miliardów rozkwita w Niemczech przemysł i dojrzewa spekulacya, a nasz Odyseusz, odwiązawszy się od masztu obowiązków urzędowych, podąża za syrenim śpiewem złota na żniwo do Berlina, gdzie obejmuje posadę dyrektora Towarzystwa dyskontowego. Na tem stanowisku wykazał tyle sprytu gszefciarskiego, takie bogactwo zdrowego, prawdziwie zdrowego rozsądku, iż bankierzy frankfurccy, chcąc uczcić jego zasługi i dać dowód, iż grzechy młodości „górnej i chmurnej“ zostały odpuszczone nieposzlakowanemu liberałowi, obierają go pierwszym burmistrzem swego miasta. Pod godłem *Pas de rêveries* Miquel wstępuje w nową erę żywota i staje się pożytecznym członkiem swego społeczeństwa w całkowitem słowa tego znaczeniu. Niestety, przypadek chciał, iż Frankfurt dostępuje zaszczytu wizyty urzędowej i wtedy to nadburmistrz wygłasza wielką mowę programową. Stare partye polityczne — woła ze szczerym patosem — straciły już racyę bytu; potrzeba nowych haseł — dobrobytu gospodarczego, wielkości politycznej.“ Miquela poklepano po ramieniu i upojony usłyszał on nad uchem swem niby we śnie owe pamiętne słowa: *Sie sind unser Mann* (Pan należysz do nas), poczem otrzymał nominacyę na ministra skarbu. Wielka radość zapanowała w Izraelu na giełdzie. Zwyżkowcy i zniżkowcy ściskali się wzruszeni zaszczytem, jaki spotkał finansistów. Wszak ten minister to krew z ich krwi, kość z ich kości. On nareszcie pokaże, iż liberalizm nie jest czczym frazesem i pierwiastkiem burzycielskim, lecz najmądrzejszą na świecie rzeczą, przytem lojalną, pożyteczną. Miquel jednak odrazu, jako umysł głęboki, przejrzał zgubność wszelkiego doktrynerstwa. Ideały polityka, prądy, ruchy, ludzkość — to są świecidełka dobre dla dzieci i wartogłowów, mających zielono w głowie. On, 60-letni starzec, który przysięgał tylokrotnie miłość dozgonną najrozmaitszym ideałom i kierunkom, wycierał kąty wszystkich stronnictw, zrozumiał, iż życie trzeba brać realnie bez iluzyj i miraży. Przedewszystkiem tedy przeprowadził szereg mistrzowskich reform finansowych, które wprawiły dwór pruski w zdumienie. Powiększono wojsko, budowano okręty, nabywano kolonie, które psu na budę się nie zdały, przygotowywano wyprawy do Chin, aby ludzie zamorscy podziwiali szlify oficerskie Niemców, odnawiano rudery rzymskie, przyczem dworzanie przebrani za gladyatorów śpiewali: *Ave morituri salutant*, postawiono pomniki wszystkim feldfeblom pruskim, a na to wszystko, dzięki Miquelowi, pieniędzy nie zbrakło. Gdy zaś opodatkowani jęczeli z bólu, Miquel mó-

---

3)

Hall Caine.

Ostatnia spowiedź.

Postanowiłem wreszcie napisać do Wenmana. Cały dzień zajęło mi pisanie listu. Gdy go skończyłem, zdawało mi się, że jakiś ciężar spadł mi z serca i żywo udałem się na pocztę. Przechodząc koło meczetu, do którego chciał wtargnąć Amerykanin, zobaczyłem, że mnóstwo wiernych cisnęło się do świątyni.

Na poczcie wręczono mi dwa listy. Nareszcie! Poznałem na kopertach pismo mojej żony i Wenmana. Jego list najpierw otworzyłem.

Mój Noel chorował! lecz mogłem być spokojny, pisał doktór, gdyż wyzdrowienie nastąpi zapewne wkrótce. Czemuż jednak nie nazwał mi tej choroby? Czemu nie napisał; na co synek mój cierpiał? Z pośpiechem otworzyłem list mojej żony. Początek był niejako echem listu Wenmana; pod koniec dopiero moja ukochana dodała kilka szczegółów: na co uskarżał się Noel, od czego zaczęła się choroba... I ogarnęło mnie przerażenie. Kryzys, od pięciu lat spodziewany, nadszedł teraz, gdy tysiące mil dzieliło mnie od Noela! Cóż mi przyjdzie z mego wynalazku, jeśli nie uratuję nim syna, wszak dla niego tylko pracowałem!

— Muszę natychmiast wracać, natychmiast!

Odczytując listy, przebiegałem ulicę, nie zważając, że całe gromady ludzi biegły w kierunku wielkiego meczetu, dochodziły do mnie okrzyki: „Nazarejczyk! Chrześcianin! Żyd przeklęty“! Lecz były to dla mnie puste dźwięki wobec myśli o moim synu. Wreszcie usłyszałem zdanie, wypowiedziane po hiszpańsku: „Anglika schwytali w meczecie,“ i zrozumiałem nagle, co się dzieje. Z uliczki, wiodącej do meczetu, wylał się tłum Arabów, Maurów, Berberów, krzycząc, wyjąc, rycząc. Przed tą rozjadłą tłuszczą biegł człowiek z odkrytą głową, w poszarpanem odzieniu, z piersią zakrwawioną. Poznałem Amerykanina! Gdy zrównał się ze mną, odwrócił się i stawił czoło sforze goniących. Był to widok okropny! Drogo sprzedał życie, lecz czyż mógł zwyciężyć? Uciekłem. Zaledwie wszedłem do mego mieszkania, kazałem zawołać przewodnika, który, korzystając z mojej nieobecności, gdzieś zniknął. Sam go wreszcie znalazłem w kawiarni, w towarzystwie Maura podejrzanego wyglądu. Maur opowiadał jakąś sensacyjną nowinę zasłuchanym gościom kawiarni.

Zawołałem przewodnika, oznajmiając mu, że natychmiast pragnę Fez opuścić. Spojrzał na mnie przerażony.

— To niepodobieństwo, Sidi! Kalif rozkazał aby dzisiaj żaden chrześcianin nie opuszczał miasta!

Zrozumiałem natychmiast przyczynę zakazu. Jakiś fanatyk podburzył innych przeciw Amerykaninowi, który odważył się zbezcześcić świątynię swoją obecnością; lecz zabójstwo chrześcianina mogło pociągnąć za sobą złe skutki: najpierw inni chrześcianie mogliby się lękać o własne bezpieczeństwo, a powtóre, konsul amerykański mógł zażądać ogromnego wynagrodzenia pieniężnego. Należało więc koniecznie zatrzeć sprawę, co mogło nastą-

wił, iż jest to skrzyp śruby, którą należy posmarować oliwą ustaw anti przewrotowych. Zmęczony trudami, zapragnął nareszcie odetchnąć czystem górskiem powietrzem najwyższych szczytów.

Powstała „prasa „Miquelowsko-urzędowa,“ która jak sieć oplątała Capriviego, a na Hohenlohem suchej nitki nie pozostawiła. Jednoczeście dążył on do tego, aby zyskać punkt oparcia w narodzie. Ten punkt Archimedesa znalazł się nareszcie; byli to agraryusze, którym zaprzedał się sercem i duszą, znając ich wpływy zakulisowe. Pomimo, iż razem z Caprivim pracował nad przeprowadzeniem traktatów handlowych, oświadczył poufnie agraryuszom, jak to potem wyszło na jaw, iż „byliby osłami, gdyby przystali na umowy handlowe.“ Agraryusze ogłosili pospolite ruszenie przeciwko dworowi i wysadzili z siodła Capriviego. Niestyty, przyszedł Hohenlohe. Miquel nie załamał rąk, przeciwnie, teraz dopiero zajął się kanonizacyą polityczną i uszczęśliwianiem agraryuszów. Jednem pociągnięciem pióra umarzał podatki gruntowe, na kiwnięcie palca swych przyjaciół zdejmował z bark wielkich właścicieli ziemskich ciężary i ładował je na plecy drobnych gmin wiejskich lub miast. Ale tego było agraryuszom za mało. Jaka bowiem kochanka wierzyłaby Miquelowi, pomna, ile razy czołgał się w upojeniu miłosnem u nóg jej współzawodniczek? Proteusz chcąc złożyć dowód, iż tamte to były tylko „miłostki,“ teraz zaś pała potężną miłością, przeklął giełdę, przygniótł piersi jej kamieniem młyńskim podatków, a co gorsza, zburzył ręką świętokradzką samą świątynię obrotów terminowych, której niegdyś był arcykapłanem. Ażeby naprawić do reszty błędy niedawnej przeszłości, on, najlepszy przyjaciel słynnego polityka, żyda Laskera, oddał się pod opiekę antysemitów i na ich żądanie zaprowadził podatek dla wielkich bazarów. I zdawało mu się, że teraz agraryusze z pewnością przycisną go do łona. Ale stała się rzecz dziwna. Gdy zaczął ich prosić, ażeby ze względu na niego przyjęli ustawę kanałową, która im w istocie nie przyniesie żadnej szkody, odmówili mu.

Bülow widząc, iż Miquel nie ma za sobą żadnej partyi w izbach ustawodawczych, że stał się figurą komiczną i skompromitowaną, zawiadomił go, iż gotów jest starać się o jego dymisyę.

H. F.

Tydzień polityczny. W Barcelonie, ognisku ruchów społeczno-politycznych Hiszpanii, były w przeszłym tygodniu bardzo poważne zaburzenia. Zaczęło się od tramwajów, skończyło na kulach i pałaszach. Ze 20.000 ludzi uczestniczyło w tym iście rewolucyjnym ruchu, któremu nie zbrakło nawet krzyku: „Precz z Hiszpanią!“ Katalończycy nigdy nie byli gorącymi Hiszpanami, a dziś jeszcze ciągnie ich coś do tego narodu, który w XIII i XIV w. wytwarzał się w północnej Hiszpanii i południowej Francyi na pomorzu, ale przez walkę z Arabami i zjednoczenie królestw arabskich i narodowych w monarchię hiszpańską — w zawiązku zasechł. Ważną nadzwyczaj jest tam kwestya socyalna, a niedbalstwo rządzące Hiszpanią, wciąż jeszcze, mimo wielkich dzwonów Sagasty, przywiązuje do niej centnarową wagę. Nowe zaburzenia przyniosły bardzo wielu rannych i zabitych, więcej jeszcze więźniów przyniosą sądy i kary i walka z powietrzem, bo bunt jest endemiczny. Biedna Hiszpania, a tak dla równowagi potrzebna!

We Francyi „śledzą rozwój kwestyi marokańskiej“ tylko patrzeć, jak natrą na sułtanat; z Hiszpanią dadzą sobie radę, poparcie silne, choćby tylko czysto dyplomatyczne, wystarczy.

W Wiedniu jest nadzieja pomyślnego dopłynięcia do końca sesyi w środku czerwca. P. Koerber przystaje na ujęcie z 250 mil. koron 75-u i danie ich na regulacyę rzek; z tego ma się Galicyi dostać 15 milionów. Roboty będą w 6 krajach koronnych, jednocześnie, odrazu. Przykro, że Koło wiedeńskie dało sobie wyrwać nawet taką gospodarczą inicyatywę. Jeżeli kto, to Galicya od powodzi cierpi: a jej opiekunowie czekają, aż się Czech o Wełtawę i Elbę dla siebie upomni: zupełne wysadzenie z siodła. Dobija powalonych jeszcze p. Daszyński, który d. 13 b. m. odkrywał znowu przed Niemcami i współ-Słowianami całe kupy kradzieży, oszustw, przekupstw — a czynił to z bezwzględnością idealizmu zapatrzonego w siebie a niepatrzącego na ziemię. — D. 7 b. m. Kramarz dobrze odpierał niemieckie napaści na katolicyzm i austryacyzm, zagrożone protestancko-pruskiem „Los von Rom.“

Odsłania się ciekawa strona dymisyj i nominacyj berlińskich: p. Hamerstein z Metzu jest kolegą od serca owego grabarza ministrów, Lucanusa: koleżeństwo wyjednało posadę. P. Miquel znowu wystosował do cesarza telegram niedość słodki, a później raport dość cierpki. Cesarz się skrzywił: i p. Lucanus zjawił się Miquelowi. Całe to ministeryum jest tylko zbiorem urzędników, słuchających cesarza, a gdy cesarz pozwoli, to kanclerza. „Kurs“ jest w Wilhelmie II, a nie w gabinecie. Wilhelm II ma w sobie i kurs i gabinet. „Mittellandkanal“ stoi, stoją i cła zbożowe.

Wszystko, co żyje, myśli o obronie. Belgia uchwaliła już systemat poboru wojskowego bez wykupu. Ma mieć z milicyą 130,000 siły zbrojnej. Holandya podnosi roczny swój pobór z 11 na 16 tys. i zastępuje gwardye miejscowe ogólnym, jednolitym *landszturmem* niemieckim. W Szwecyi rząd domaga się powszechnej służby wojskowej.

W Turcyi sprawa poczt europejskich odrazu wystąpiła w płomieniach. D. 5 b. m. rząd nagle zabrał wszystką pocztę przeznaczoną dla konsulatów i biur pocztowych europejskich w Stambule jeszcze, nieco anormalnie, istniejących. Dyplomacya zrazu odparła gwałt gwałtem, ale rychło ostygła i teraz gabinety mają sprawę w swych rękach.

W Sofii zmarł Grekow, minister Stambułowa w wydziale spraw zagranicznych. D. 6 b. m. były demonstracye przeciwko księciu; nazajutrz aresztowania.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PROWINCYI.

Prowincyonalista i obywatel wielkomiejski. — Odgłosy zajść w kasie literackiej. — Ustosunkowanie sił w pracy społecznej. — Wystawy w Lublinie.

Mieszkańcy wielkich zbiorowisk życia mają swoją dumę znamienną, która każe im z wysoka pobłażliwie lub pogardliwie traktować przybyszów-gości zaściankowych. „Ten pan z prowincyi“ — wyrażenie rzucone w salonie, jest niejako świadectwem samowolnie wydawanem, określającem kwalifikacye towarzyskie i umysłowe prowincyonalisty. „Co on tam wiedzieć może? Niegdyś wprawdzie otrzymał wykształcenie średnie a może i wyższe w wielkiem mieście; ale zasklepił się w tej wiedzy, przypieczętowanej dyplomem, oderwał się od ogniska ruchu umysłowego i społecznego, nie płynie z szeroką falą życia.“ Takie wyrobił sobie zdanie mieszczuch o prowincyonaliście — i śmiało staje z nim do szermierki, nawet wobec licznych świadków. Ale oto „zaśniedziały, zacofany“ zaściankowiec nietylko zna wybornie sztukę krzyżową, ale posiada i siłę, która mu pozwala robić przeciwnikowi głębokie cięcia na czole, wytartem blagą i śmiałością klubowo-towarzyską. Okazuje się, że ów prowincyonalista, chociaż nie płynie z falą życia wielkomiejskiego, tj. nie bierze udziału w rekordach, nie zgrywa się w totalizato-

---

pić tem łatwiej, że Amerykanin wszedł do miasta w przebraniu i nie przedstawił się swemu konsulowi. Jedna tylko istota znała jego tajemnicę — Larby, jego przewodnik. Teraz pochowają ciało tak, by go nie dojrzało oko chrześciańskie i rozpuszczą pogłoskę, że zginął w bójce jeden z tuziemców.

Dopóki się ta pogłoska nie ustali, dopóki krążą po Fezie wieści o zamordowaniu chrześcianina, żaden cudzoziemiec nie powinien opuszczać miasta, gdyż mógłby posiać po swej drodze wiadomość szkodliwą dla władz miejscowych. Ja jednak przekupiłem urzędników i około północy wyruszyłem z Fezu.

W bramie miasta spotkałem Maura, z którym mój przewodnik rozmawiał w kawiarni. Patrzał na mnie złem okiem i rzucił mi nagle te słowa w okropnym żargonie miejscowym:

— Widzisz, jak Allah ukarał twego przyjaciela!

Bez wątpienia był to Larby, który mógł przypuszczać, że znam całą prawdę. Spojrzenia nasze skrzyżowały się i jednocześnie uczułem, jaki przewrót moralny dokonywa się we mnie. Stanęła mi w myśli sposobność opuszczona przez Amerykanina, który pod wpływem odruchowej miłości bliźniego nie poświęcił cudzego życia, by uniknąć groźby nad nim zawieszonej. I modliłem się w głębi duszy: „Boże wszechmocny, obroń mię przed pokusą!“

Mój ojcze, pomyśl, że tysiące mil dzieliły mnie od chorego dziecka, że śmierć mogła mi je zabrać.

Jadąc, rachowałem, za ile dni stanąć mogę w domu, ile czasu drogiego minie. Lecz mogłem jeszcze przybyć w porę, bylebym nie miał przeszkody w drodze. Na tę myśl włosy stawały mi na głowie. Trwoga o syna, straszne przykłady fanatyzmu miejscowej ludności zrodziły na tle newrozy] chaotyczny strach w mej duszy. Lękałem się już chyba własnego cienia, wyobrażałem sobie ciągle, co złego może mię spotkać na każdym kroku. Przez zbytek ostrożności wpadłem w podejrzenie u moich ludzi. Zanadto przesadnie oddawałem cześć ich wierze, zaczęli teraz mną rządzić. Zatrzymywali się gdzie chcieli i jak długo chcieli. Zupełnie daremnie prosiłem i groziłem. Zauważyłem też po pewnym czasie, że Larby dążył za nami.

— Ali! — rzekłem do mego przewodnika — czemu ten człowiek idzie za nami? Co to za jeden?

— Sidi, to Larby, uczciwy, dobry Larby. Idzie do Tangeru, do swego domu. Ma także sklep. Gdyby Sidi potrzebował kiedy piżma lub cynamonu, Larby go dostarczy. Czasem przeprowadza on cudzoziemców do Fezu, a przez ten czas brat jego pilnuje sklepu.

— Ale po cóż on idzie za nami?

— Sidi, on wraca do domu. Co się stało z chrześcianinem, któremu towarzyszył?

— Rzeczywiście, co się z nim stało?

— Odszedł na południe — odparł Ali z krzywym uśmiechem.

— Dlaczego kłamiesz? — spytałem. — Wiesz dobrze, że Larby go zdradził.

— Ach, sidi! -zawołał z przestrachem— to prawda, że chrześcianin umarł; umarł z woli Allaha! Lecz cóż temu winien Larby? Nie! On nic nie winien! Niech go Allah prowadzi szczęśliwie.

Ta odpowiedź wcale mię nie zadowoliła. Obecność Larby'ego rozdrażniała mię do najwyższego stopnia. Ten człowiek śledził mię bezwzględnie. Z początku sądziłem, że chce wyłudzić ode mnie pieniędzy, po-

ra, nie jest gospodarzem na rautach i balach, nie wznosi toastów na ucztach klubowych, nie jest członkiem honorowym lub rzeczywistym Filharmonii warszawskiej, Towarzystwa wioślarskiego lub łyżwiarskiego, nie przyłożył żadnej cegiełki do budowy gmachu Towarzystwa sztuk pięknych, nie był uczestnikiem żadnego skandalu, nie dostał nigdy szpicrutą albo kijem po karku, nie uczęszcza na premiery i nie czyta *Kuryerów*, to jednakże umie bardzo często w kozi róg zapędzić takiego obywatela wielkomiejskiego, który wszystkie kwalifikacye powyższe posiada. Co więcej: czyta poważne książki i pisma, śledzi ruch naukowy i społeczny, słowem robi wszystko to, na co nie ma czasu obywatel wielkomiejski, porwany „falą życia bieżącego." Prowincyonalista taki, który ma jeszcze kurz na swoim płaszczu podróżnym i opaleniznę słoneczną na twarzy, odważa się niekiedy wskazywać kurz na sumieniu mieszczuchów i spaleniznę ich duszy, śmie piętnować delatorów i zaprzańców, zgarniać i usuwać męty z czystej fali społecznej.

Rolę obywatela wielkomiejskiego względem prowincyonalisty odgrywa u nas bardzo często prasa warszawska w stosunku do prowincyonalnej. A jednak te gazetki zaściankowe bardzo często dają artykuły źródłowe, żywotne, a nawet posiadają odwagę prawdziwie obywatelską. Bardzo znamienne jest zachowanie się niektórych pism prowincyonalnych w głośnej sprawie Kasy literackiej. Głosy owe mają tem większe znaczenie, że wychodzą z pism, stojących zdala od wszelkich stronnictw, „klik" i towarzystw wzajemnej adoracyi. Na zaznaczenie zasługują uwagi *Świata* łódzkiego, wywołane zachowaniem się i wystąpieniem tych, którzy rzucili publicznie zniewagę społeczeństwu polskiemu i przedstawicielom jego ruchu umysłowego. „Tak spotwarzyć cały ogół korporacyi mógł tylko człowiek, który albo nie zdaje sobie sprawy ze swoich postępków, albo sam jest przekonany, że od niego, jako niezdolnego dać żadnej satysfakcyi honorowej, nikt zadośćuczynienia żądać nie będzie." Cytując słowa *Kuryera porannego*, *Świat* kończy swój artykuł w sposób następujący: „Tak odpowiada red. Fryze na oszczerstwa i obelgi, miotane przez podrażnione w swej ambicyi jednostki na cały ogół dziennikarzy. I do tej odpowiedzi musimy dołączyć tylko jedną uwagę. Zbyteczną jest rada, skierowana do p. Kosiakiewicza, ażeby „zaniechał należenia do dziennikarzy polskich," gdyż p. Kosiakiewicz polskim dziennikarzem nigdy nie był, nie dość bowiem jest pisać po polsku, aby na to miano zasłużyć. P. Kosiakiewiczowi wprawdzie okrutny „los kazał być polskim dziennikarzem," ale widocznie było to nad jego siły. Wogóle całe to zajście, które zaczęło się na posiedzeniu Kasy literackiej, a skończyło się na szpaltach pism, sprawia nadzwyczaj przykre wrażenie. Lecz jak każda rzecz ma złe i dobre strony, tak i z tego wynikły korzyści: Kasa literacka z ustąpieniem kilku obrzucających ją błotem członków, pozbyła się jednostek, które były jej zakałą."

W ciągu ostatnich kilku lat życie społeczne i ekonomiczne na prowincyi bije coraz szybszem tempem i tem samem daje coraz więcej soków odżywczych prasie miejscowej. Dąży ona do urzeczywistnienia swych właściwych zadań: odzwierciedlania tego życia i formułowania jego potrzeb. *Tydzień* piotrkowski, *Gazeta kaliska*, *Gazeta radomska* stały się organami towarzystw rolniczych; rozwój zaś pracy zrzeszonej w różnych postaciach i dziedzinach, powstawanie nowych związków, stowarzyszeń, przedsiębiorstw, organizacya wystaw miejscowych itd., wszystko to daje całej prasie prowincyonalnej materyał bardzo bogaty i ważny. Co prawda, nie wszystkie jeszcze te pisma umieją korzystać w równej mierze z tak wielkich zasobów, ale przynajmniej ku temu dążą i to jest dla nich okolicznością łagodzącą.

Echa płockie i łomżyńskie, poruszające najczęściej sprawy na podścielisku szerszem, zamieściły, zasługujący na uwagę, artykuł o ustosunkowaniu sił w pracy społecznej. Z powodu powstawania w ostatnich czasach instytucyj różnorodnych wynikła potrzeba obsadzania stanowisk których znaczenie jest bardzo doniosłe. Otóż pod tym względem daje się zauważyć pewna okoliczność niepożądana i niekorzystna dla interesów ogółu. Jedni pracownicy są powoływani bardzo często na różne stanowiska, wymagające wiele czasu, pracy i poważnej odpowiedzialności moralnej. Ludzie ci, nadmiernie obarczeni, oczywiście nie mogą podołać przyjętym zobowiązaniom, spełniają je pośpiesznie i niedokładnie. Inni zaś, zdolni, gotowi do usług publicznych i ożywieni najlepszami chęciami, są stale odsuwani od pracy publicznej; słusznie więc *Echa płockie i łomżyńskie* radzą: koło wybieranych rozszerzyć, ciężar pracy, publicznej rozłożyć na większą liczbę ludzi dobrej woli; mniej wyrobionych ale chętnych wdrażać do pracy społecznej. Tym sposobem można podnieść poziom wyrobienia ogólnego i zyskać siłę prawdziwą. Jakąż drogą należy iść do tego celu: „Przeprowadzić tę sprawę mogą i powinni przedewszystkiem ci, którzy dziś wybitniejsze stanowisko w życiu publicznem zajmują; oni najlepiej znają potrzeby ogólne, wiedzą, iż licznym obowiązkom podołać niepodobna, rozumieją jakie kwalifikacye są potrzebne dla pewnych zajęć; obracając się w szerszem kole ludzi, znają tych, którzy je posiadają."

Wszystko to bardzo pięknie, ale nie zapominajmy, że ludzie zaprawieni do zajmowania różnorodnych stanowisk, mają swoje cele i ambicye, których nie zrzekną się tak łatwo. Nie od nich więc lecz od ogółu należy żądać równomiernego rozdawania obowiązków i pracy jego przedstawicielom. Zresztą trzeba jeszcze wziąć pod uwagę i to, że praca społeczna w szerszym zakresie na prowincyi zaczęła się budzić i organizować dopiero w ostatnich latach. Temu więc można przypisać brak doświadczenia. Zajmowanie kilku stanowisk przez jednego człowieka nie jest zresztą zjawiskiem życia wyłącznie prowincyonalnego. To typowy objaw urządzeń ogólnych, które wytwarzają grunt wybornie użyźniony do uprawy synekur i karyerowiczowstwa. Jednostce, rozpraszającej swe siły i zdolności na różne strony, w wielu wypadkach nie chodzi wcale o dobro społeczne; nie chodzi o nie także i tym, którzy popierają swoich przedstawicieli wszechstronnych.

Lublin czyni obecnie przygotowania do dwu wystaw. Jedna z nich, przemysłowo-rolnicza (w drugiej połowie czerwca) zbudziła powszechne zainteresowanie nietylko w gub. Lubelskiej, lecz w całym kraju. Mówią o niej w warszawskiej sekcyi rolnej, mówią we wszystkich towarzystwach i syndykatach rolnych. Wystawa taka, urządzona przed dwoma laty w Radomiu, wymownie dowiodła, jak dalece są pożyteczne tego rodzaju popisy zbiorowe. Jest to właściwie plastyczny obraz życia ekonomicznego i społecznego danej okolicy, który pozwala rozglądać się w stosunkach, układać je i oceniać w sposób właściwy. Z wystawy radomskiej np. dowiedzieliśmy się, że śród ludu naszego istnieją takie gałęzie produkcyi domowej, które mogłyby się rozwinąć ogromnie i podnieść dobrobyt ludności włościańskiej, tem bardziej, że gałęzie owe przez długi jeszcze czas nie będą miały groźnego i przemożnego współzawodnika w przemyśle wielkim. Dowiedzieliśmy się, że wiele gałęzi pracy wytwórczej, po skierowaniu na właściwe drogi, mogłyby się rozszerzyć i wzmocnić, że są zabiegi i przedsięwzięcia pojedyńcze które mogłyby przynieść owoce prawdziwe tylko po zorganizowaniu pracy zbiorowej, że wreszcie istnieją nietknięte a bogate pola pracy, które należałoby uprawiać. Słowem, wystawa radomska dała

---

źniej przyszedłem do wniosku, że pilnuje mego powrotu. Chce wiedzieć, czy naprawdę kraj opuszczam. Potem przyszło mi na myśl, że choć wyjadę, mogę oskarżyć go tem śmielej. Jeśli on się tego domyśla, nie wypuści mnie żywym!

Biłem się z myślami, co począć? Postanowiłem osobiście porozumieć się z tym nędznikiem. W ciągu rozmowy opowiedział mi, że ma córeczkę Hoolię.

— A ja mam syna chorego—odezwałem się.— Jestem doktorem i chcę jak najprędzej wracać do Anglii, by go leczyć...

Tu Larby rzucił mi zimne, przeszywające spojrzenie, które mówiło wyraźnie:

— Kłamiesz! Ta choroba to pozór, to podstęp...

A więc nie myliłem się. Ten człowiek chciał mię zamordować. Każdej chwili musiałem się mieć na baczności.

W tej grozie, w tej trwodze jechałem dalej. Czwartego dnia stanęliśmy w Uczanie. Pomimo wczesnej godziny, moja eskorta postanowiła nocować, nie zważając na mój opór. Lecz omylili się tym razem. W Uczanie był konsul angielski i ten tak dzielnie zajął się moją sprawą, że na godzinę przed zachodem słońca mieliśmy wyruszyć.

Zaledwie wyszedłem z konsulatu, spotkałem się z Larbym, o którym na chwilę zapomniałem. Jego oczy, błyszczące nienawiścią, mówiły: „Byłeś w konsulacie i wydałeś mię. Zobaczymy, kto z nas zwycięży."

— Larby, dlaczego mię szpiegujesz? — spytałem.

— Ja, sidi?

— Tak. Śledzisz, wypatrujesz, nie odstępujesz mnie dniem i nocą.

— Alеż Sidi! Sidi ogląda miasto, ja także.

— Więc w którą stronę teraz idziesz?

— W tę—wskazał na prawo.

— A ja w przeciwną.

Miałem godzinę czasu, poszedłem obejrzeć miasto. Nigdzie nie widziałem tylu minaretów, tylu domów świętych, co w Uczanie.

Skierowałem się znowu w stronę konsulatu; przed nim spotkałem pocztyliona wiozącego listy z Tangeru do Fezu. Może miał co dla mnie! Lecz pocztylion nie chciał otworzyć worka z korespondencyą, nie mógł złamać pieczęci. Trochę monety usunęło jego skrupuły. Oddał mi dwa listy od żony i od doktora Wenmana. Otworzyłem ostatni i struchlałem! Doktór nie ukrywał już przedemną groźnego stanu zdrowia Noela...

Operacya mego wynalazku mogła go uratować, całe nieszczęście, że oprócz mnie, nikt jej dotąd nie robił. Jęk wyrwał się z mej piersi... oderwałem oczy od listu i teraz dopiero ujrzałem, że otacza mnie tłum Maurów. Śmieli się ze mnie, wytykali palcami. Rzuciłem się w boczną uliczkę, by uniknąć ich widoku. Czytając listy, szedłem na oślep po zaułkach; to co donosił mi doktór przewidywałem wprawdzie, lecz zawsze w głębi serca żyjąca nadzieja szeptała mi, że stan Noela jest może lepszy, niż przypuszczam. Znowu zacząłem obliczać czas, który spędzić będę musiał w podróży. Jeszcze w porę przybyć mogę, mówiłem sobie z westchnieniem słabej ulgi. Wzniosłem błagalnie oczy ku niebu, gdy nagle z najwyższem przerażeniem ujrzałem na murze, o który stałem oparty, białą chorągiew. Wszedłem bezwiednie w obręb posiadłości marabuta! Wybiegłem stąd jak szalony i spotkałem się oko w oko z Larbym.

liczne wskazówki i pozwoliła pewnym rzeszom oryentować się w położeniu.

O ile wnosić możemy z programu wystawy lubelskiej, będzie ona nie mniej pożyteczną, niż radomska.

O miesiąc wcześniej (25 maja) otwarta będzie w Lublinie wystawa sztuk i starożytności, której głównym organizatorem jest p. Hieronim Łopaciński. Zadaniem wystawy będzie zgromadzenie z całej gubernii przedmiotów z zakresu archeologii i sztuki, a więc okazy archeologii przedhistorycznej: wyroby kamienne w postaci toporków, strzałek, dzid, nożyków, broni i narzędzi krzemiennych, bronzowych i żelaznych, ozdób złotych i srebrnych, naczyń glinianych, tj. popielnic, urn, miseczek, garnków itd. Prócz tego wykopywane i wydobywane w granicach gub. Lubelskiej pieniądze greckie, rzymskie, średniowieczne itd. P. Łopaciński starał się zgromadzić (nie wiem, czy tego dokonał) zupełny zbiór monet bitych w Lublinie, w którym mennica istniała w w. XVI i XVII, a następnie w Zamościu (1813 r., podczas oblężenia). Dalej: zbiór medali, uwieczniających osoby lub wydarzenia; dawne pieczęcie miast, gmin, instytucyj i osób, znaki masońskie lóż, które istniały w Lublinie i Zamościu 1824 r. Są dziś dość rzadkie wyroby ceramiczne fabryk w Tomaszowie (z początku w. XIX) i Lubartowie (z połowy XIX). „Od wieku XVI — czytamy w odezwie p. Łopacińskiego — drukarnie w Lublinie, Łaszczowie i Zamościu, a w w. XIX w Nowej Aleksandryi (Puławach) niemałą odbiły liczbę książek, których okazy ładniejsze i cenniejsze powinny się znaleźć na wystawie. Druki hebrajskie w Lublinie wcześniej się ukazywały, niż łacińskie i polskie. W Hrubieszowie, Łaszczowie i Józefowie Ordynackim drukarnie hebrajskie istniały w początkach w. XIX.“ Dalej wystawa obejmuje wszelkie obrazy, ryciny, fotografie, albumy, mapy, atlasy, przedstawiające miejsca, pomniki, budowle, miasta i wsie w gub. Lubelskiej. Wreszcie typy ludowe, obrazki z życia ludu, dawne zabytki cechowe (przywileje, skrzynki, księgi, buzdygany, puhary, pieczęcie, znaki cechowe dla cechmistrzów, chorągwie itd.).

P. Łopaciński jest skrzętnym i sumiennym badaczem zabytków przeszłości. Z tego można wnosić, że wystawa, z jego inicyatywy urządzona, będzie istotnie bogata, ciekawa i pożyteczna.

Drogomir.

LISTY GALICYJSKIE.

Ustąpienie p. Michała Bobrzyńskiego ze stanowiska wiceprezesa Rady szkolnej krajowej powitali z prawdziwem zadowoleniem wszyscy, komu rzeczywiście chodzi o rzetelną oświatę ludu. Nie wiadomo jeszcze, kto będzie następcą p. Bobrzyńskiego, nie mamy żadnych podstaw do przypuszczania, że następca będzie lepszy, ale gospodarka p. Bobrzyńskiego na roli szkolnictwa galicyjskiego tak zraziła wszystkich do autora „Dziejów Polski,“ że przyznają racyę myśli, zawartej w przysłowiu rusińskiem: „Choć hirszyj, aby inszyj.“

Dziesięcioletnia czynność p. Bobrzyńskiego na polu pedagogicznem jest tak charakterystyczna dla stosunków galicyjskich i dla panującej w tym kraju kliki, że warto przyjrzeć się zasadniczym rysom tej działalności.

Był czas w zaraniu doby autonomicznej, kiedy całe społeczeństwo galicyjskie z zapałem wypowiadało się za udostępnieniem oświaty jak najszerszym warstwom. Sejm lwowski gorąco zajmował się wszystkiem, co tylko dotyczyło szkolnictwa, a pierwsze kroki usamodzielnionej, ukrajowionej szkoły wywoływały entuzyazm nawet wśród konserwatystów. Namyślano się nad tem, jak przyspieszyć rozwój szkolnictwa krajowego, aż w r. 1883 uchwalono w sejmie wniosek, domagający się najdalej do lat dziesięciu szkoły dla każdej bez wyjątku gminy. Wniosek ten, postawiony przez Zyblikiewicza, wywołał szereg mów, przeniknętych myślami prawdziwie obywatelskiemi. Wówczas to padły słowa: „Im więcej indywiduów umiejących samoistnie myśleć i działać, wytworzy się na dole, w gminie, w samej podstawie społeczeństwa, tem silniejsze będzie to społeczeństwo i tem łacniej przyjdzie mu przetrwać burze i czarne godziny, jakie na nas Opatrzność spuścić jeszcze może.“ Wyrzekł te słowa nie żaden chłopoman, nie żaden przewrotowiec — tylko zacięty konserwatysta, obszarnik, hr. Rey.

I zabrano się gorliwie do pracy. Minęło co prawda lat dziesięć, a jeszcze daleko było, tak samo jak i dzisiaj jest, do tego, by każda bez wyjątku gmina posiadała szkołę, ale zrobiono w tym zakresie bardzo dużo. Szkoły, towarzystwa wydające i szerzące wśród ludu literaturę popularną, gazetki ludowe, czytelnie, kółka rolnicze mnożą się ustawicznie, wywierają wpływ coraz większy i powołują do życia coraz większy zastęp jednostek, które pragną „samodzielnie myśleć i działać.“ Chłop, nauczywszy się w szkole czytać, coraz chętniej brał do rąk przeróżne wydawnictwa, jego widnokrąg umysłowy rozszerzał się stopniowo, rodziły się nowe potrzeby kulturalne i polityczne...

W miarę rozwoju tego prawa kulturalno-społecznego entuzyazm do oświaty coraz bardziej malał w tych sferach, które jeszcze tak niedawno głosowały w sejmie za oświatą powszechną. Przenosił się on natomiast do samych mas ludowych — wiejskich i miejskich i do tej garstki inteligencyi, która sprzęgła swe dążności idealistyczne z interesami ludu.

Czy nie za dużo tej oświaty? — począł sobie zadawać pytanie kolega hr. Reya, kiedy chłop piśmienny nagle zmienił swe zapatrywania na dostateczność otrzymywanych od obszarnika zarobków. Już stanowczo musiał twierdząco rozstrzygnąć to pytanie, kiedy chłop po przeczytaniu paru artykułów i odezw gazetki ludowej nie chciał wybrać ani kolegi hr. Reya, ani jego sąsiadów-szlachciców do rady powiatowej, wysyłając tam paru Wojtków i Maćków z przewróconemi zupełnie głowami pod wpływem — naturalnie oświaty. Kiedy zaś nareszcie Bartki i Maćki czytające układne listy „agentów niesumiennych,“ zaczęły gromadnie uciekać tam, gdzie im płacano trzy razy więcej za robotę, wszyscy koledzy, krewni i powinowaci hr. Reya osądzili, że należy czemprędzej jeśli nie powstrzymać zupełnie szerzenie się oświaty, to przekształcić ją tak, aby bodaj jak najmniej przynosiła szkody.

Wykonanie tego planu polecono p. Bobrzyńskiemu, który zakasał rękawy i zabrał się do pracy. Ufny w poparcie wszechpotężnych stańczyków, którzy go właśnie na tę placówkę wysunęli, p. Bobrzyński rozpoczął swą pracę od gruntownego oczyszczenia składu Rady szkolnej krajowej ze wszystkich czynników postępowych i samodzielnych. Wprowadził zaś na ich miejsce ludzi takich, których główną zaletą była giętkość karków. Odzyskawszy w ten sposób swobodę ruchów, nowy wiceprezydent zabrał się do gruntownego przekształcenia szkolnictwa, zaczynając od jego podstaw. Zmienił podręczniki szkolne, plany naukowe, a w końcu i ustawę o zakładaniu i urządzaniu szkół ludowych w tym kierunku, ażeby poziom ich jak najbardziej obniżyć. Szkoły ludowe po wsiach zastosował wprost do potrzeb właściciela wielkiej posiadłości ziemskiej, pragnąc wytworzyć z nich coś w rodzaju kursów przygotowawczych dla przyszłych parobków, fornali i innej służby dworskiej. Po-

---

Śmiał się, a w tryumfującym tonie tego śmiechu słyszałem wyrazy.

— Dobrze, Sidi, sam wpadłeś w pułapkę. Umrzesz za chwilę i nikt się o tem nie dowie. — I zniknął na zakręcie.

Nie panowałem już nad sobą, jak błyskawica zajaśniał mi w myśli obraz śmierci Amerykanina. Larby wnet rzuci na mnie mrowie fanatyków.

Skoczyłem w pogoń za nim i dopędziłem go w kilka sekund. Pochwyciłem za kaptur, odwrócił się... Walka była krótka i straszna. On był silny i rozrośnięty, ja szczupły i chory, a jednak uniosłem go w powietrze i cisnąłem o ziemię. Krzyknął. Chwyciłem go za gardło. Wysunął nóż z za burnusa, wyrwałem mu broń i uderzyłem... wiedziałem gdzie uderzyć... Został martwy! Rzuciłem nóż, uciekłem, a w głowie huczały mi słowa: „Dla mego syna! Dla mego syna“! Ogłuszony, ogłupiały wpadłem na rynek, potrącając ludzi.

— Pijak! pijak! — wołali za mną.

Gdy dopadłem nareszcie miejsca, w którem stała moja eskorta, znalazłem konie i muły osiodłane, ludzi gotowych do drogi. Stanąłem i patrzałem na nich bezradnie. Coś do mnie mówili...

— Sidi ogłuchł... — szepnął wreszcie jeden z nich.

Nadszedł też konsul i przywitał mnie wesoło. Z najwyższym wysiłkiem zdobyłem się na odpowiedź. Chciał mi pomódz bym wsiadł na konia.

— Nie, nie, — bąknąłem i z trudem dosiadłem wierzchowca.

— Sidi jest chory, zwrócił się konsul do moich ludzi jedźcie tak, jakby was śmierć goniła! W drogę! Popędziliśmy.....

. . . .

Ojcze mój, przybyłem w porę, ocaliłem mego syna! I w jednej chwili, natychmiast po operacyi siły mnie opuściły. Położono mię... Byłem już tylko łachmanem człowieka.

Już miesiąc upłynął, a ja nie czuję żadnego polepszenia. Zabija mnie choroba nie ciała, lecz duszy. Żadne lekarstwo mnie nie uzdrowi. Czy Bóg mi przebaczy? Czy popełniłem zbrodnię? Jeśli przestąpiłem literę prawa, czy dotknąłem też jego ducha?

Mów do mnie, ojcze! przez litość mów do mnie.

Miej litość ty, który w nią wierzysz! Czuję śmiertelny niepokój. Bóg dał życie Bóg jeden ma prawo je odebrać.

A jednak... jednak...

Mój ojcze czy słyszysz ten krok dziecinny? To mój Noel biega, uratowany! Biedne dziecko niewinne i nieświadome. On zabrał mi życie! Wyczerpał moje siły.

Bóg wszystko widzi. Czuwa nad małą Hoolią, która dotąd może wygląda powrotu ojca i nad moim Noelem.

Wszystko powiedziałem ci, ojcze! Ty płaczesz?

Powiedz mi, czy jest dla mnie nadzieja? Znasz moją zbrodnię, znasz moją mękę...

. . . .

— Mój synu, Bóg dał Prawo ludziom. Ja nie śmiem cię sądzić, mój synu... W ręce Ojca miłosiernego oddaję twoje czyny i pobudki. Niech on rozgrzesza i przebacza. Jeżeli jesteś niewinnym, już jesteś usprawiedliwionym. Jeżeliś zawinił, Bóg posłyszy krzyk twej rozpaczy...

KONIEC.

mnożył liczbę godzin wykładu języka niemieckiego z uszczerbkiem dla polskiego, przeładował podręczniki anegdotami z historyi austryackiej, a w końcu zabronił nauczycielom dodawać cokolwiekbądź na lekcyi ponad to, co się w książce szkolnej znajduje. Z chwilą, kiedy reakcya w Austryi dojdzie do takiego rozwoju, że zaprowadzenie szkół wyznaniowych nie napotka już żadnego oporu, szkoła ludowa, w ten sposób przekształcona, spadnie jak owoc dojrzały w nadstawioną sutannę kleru.

Bobrzyński poczynił nawet już bezpośrednie kroki w tym kierunku, mianując okręgowymi inspektorami szkolnymi — księży, i poruczając im również kierownictwo seminaryów nauczycielskich. Wogóle nauczyciele stali się przedmiotem gorącej opieki p. Bobrzyńskiego, jako ludzie, którzy posiadają wpływ bezpośredni na lud. Przedewszystkiem rozbił jedność ciała nauczycielskiego, podzieliwszy nauczycieli ludowych na wiejskich i miejskich, a tych ostatnich znowu na kilka kategoryj. Wskutek takiego podziału konferencye nauczycielskie straciły dawno swe znaczenie ciała, normującego szkolnictwo, zwłaszcza od czasu, kiedy p. Bobrzyński zabronił na tych konferencyach krytyki planów naukowych, podręczników i instrukcyj. Dzięki przeróżnym okólnikom p. Bobrzyńskiego, konferencye te stały się poprostu plagą dla nauczycieli niezależnych, których szpiegowano, denuncyowano i prześladowano za zdania samodzielne.

Szykanowanie i prześladowanie nauczycieli ludowych spowodowało masową ich ucieczkę. Na opróżnionych miejscach Bobrzyński osadzał nauczycielki (najczęściej niewykwalifikowane), tak że w ciągu dziewięciu lat jego gospodarki liczba nauczycielek wzrosła o 2,296, gdy nauczycieli zaledwie o 262. Nauczycielki, jako mniej samoistne, bardziej potulne, były dla p. Bobrzyńskiego ogromnie pożądane. Sprawa podwyższenia płac nauczycielskich, która jedynie może podźwignąć szkolnictwo galicyjskie, nie miała, rozumie się, orędownika w p. Bobrzyńskim.

W ciągu ostatniego dziewięciolecia p. Bobrzyński przysporzył Galicyi 352 szkoły — to znaczy mniej więcej jedną szkołę na dwa powiaty rocznie. A więc wzrost ilości szkół postępował nietylko powolniej, aniżeli w okresie bezpośrednio poprzedzającym objęcie steru szkolnictwa przez p. Bobrzyńskiego, ale nawet powolniej, niż przed pół wiekiem, kiedy ani autonomia, ani Rada szkolna krajowa jeszcze nie istniały *). Za to zawdzięczamy p. Bobrzyńskiemu przyrost 426 szkół *nieczynnych*. Jest to specyalna osobliwość galicyjska — szkoła, ale nieczynna! Otóż przed objęciem przez p. Bobrzyńskiego wiceprezydentury, takich szkół było 256, obecnie zaś jest ich 682.

Czyż stańczycy nie mogą się cieszyć ze swego pupila? Dwa tysiące gmin bez szkół, 360,000 dzieci w wieku szkolnym niepobierających żadnej nauki, 700 szkół zamkniętych — oto wyniki jego usiłowań. Nic więc dziwnego, że *Czas* łzy roni z powodu ustąpienia p. Bobrzyńskiego, kiedy wszystkie pisma postępowe cieszą się z tego. Najbardziej cieszy się nauczycielstwo i młodzież gimnazyalna, którą pod panowaniem Bobrzyńskiego chłostano skorpionami, szpiegując ją na każdym kroku, prześladując każdy jej czyn samodzielny, wyłamujący się z karbów stańczykowsko-klerykalnych.

Gospodarka p. Bobrzyńskiego była odbiciem klasowych rządów posiadaczy wielkiej własności ziemskiej—w szkolnictwie. Bobrzyński ustąpił, ale system jego—jakkolwiek, być może, zmieniony — musi go przetrwać. System tamowania oświaty, obniżania poziomu kulturalnego i potrzeb mas oddawania wpływów na młodzież w ręce ciemnego, fanatycznego, zaciekłego kleru, będzie trwał dopóty, dopóki nie rozpadnie się w gruzy panowanie kliki, od tylu już lat przygniatającej Galicyę. Dlatego też wszelka, najdrobniejsza nawet praca, skierowana ku oświeceniu i uświadomieniu tych mas, które jedynie mogą zadawać ciosy panowaniu stańczyków, zasługują na najżywszą sympatyę. Każdy, najsłabszy promyczek światła, który za sprawą ludzi dobrej woli przenika w mroki, jeszcze panujące u podstaw społeczeństwa, to wielki *plus* w obrachunku przyszłości Galicyi.

Z tego względu nie można lekceważyć np. działalności takiego „Towarzystwa szkoły ludowej,“ jakkolwiek owoce jego pracy mogą się wydać bardzo drobnymi. Co prawda, to i istnienie samego towarzystwa datuje się zaledwie od dziewięciu lat. Towarzystwo szkoły ludowej przedewszystkiem tworzy szkoły z polskim językiem wykładowym tam, gdzie ludność polska jest zagrożona wynarodowieniem, a więc w koloniach mazurskich Galicyi wschodniej i na kresach polsko-niemieckich. Z istniejących obecnie szkół Towarzystwa szkoła w Białej liczy 383 uczniów, w Tomasowcach (pow. Kałuski) 292 dzieci, w Dolnej Wojniłowskiej 97, w Majdanie Granicznym 182 — ogółem we wszystkich 10 szkołach, utrzymywanych przez Towarzystwo, uczy się przeszło 1,500 dzieci. Już w ciągu tego roku będzie otwartych 6 nowych szkół Towarzystwa, które są na ukończeniu. Posiada ono oprócz tego 112 czytelni wraz z wypożyczalniami książek, prawie wyłącznie w Galicyi wschodniej. Rzecz charakterystyczna, iż p. Bobrzyński do takiego stopnia szykanuje te czytelnie, że nie mogą one być umieszczane u nauczycieli ludowych, coby było najwłaściwszem.

Sprawozdanie kasowe Towarzystwa (do końca r. 1900) pokazuje, jak szczupłymi stosunkowo środkami rozporządza ta sympatyczna instytucya. Fundusz zakładowy wynosi 63,262 korony, a wydatki w roku ubiegłym przekroczyły 45,000 koron, wskutek czego Towarzystwo miało 1,253 k. niedoboru.

Daleki.

*) Od r. 1838 do 1847 założono 411 szkół nowych.

ALKOHOLIZM I WALKA Z NIM.

III.

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, sądzić już można, że alkoholizm masowy zjawił się wprawdzie dzięki odziedziczonej po wiekach średnich wierze w wartość alkoholu, opartej na pozornem jego działaniu, ale pod wpływem rozwijającego się przemysłu wielkiego, szczególnie w pierwszym okresie, głównie też wśród warstw ludności bezpośrednio dotkniętych tym rozwojem i wytrąconych z dawnych warunków bytu. Jeśli uważamy, że łudzące działanie alkoholu polega głównie na usuwaniu uczucia zmęczenia, które po pracy zmusza do wypoczynku, i uczucia nudy, które po wypoczynku popycha do pracy, to będziemy musieli uznać związek masowego użycia takiego środka narkotycznego z nagłem i gwałtownem działaniem czynnika społecznego, który rozkłada odwieczne ustalone normy, zaostrza walkę o byt, zmusza ludzi do większego natężenia pracy *), a jednocześnie (punkt ważny) zmniejsza możność oddziaływania każdego pojedyńczego człowieka na swój własny los. Dalej uprzytomnijmy sobie, że jedyne kraje, w których dotychczas dał się zauważyć początek odpływu fali pijackiej, w których zwalczanie alkoholizmu uwieńczone było faktycznem powodzeniem, są: z jednej strony — Ameryka i Anglia, czyli kraje, przodujące wszystkim w rozwoju wielkiego kapitalizmu, z drugiej — państwa skandynawskie i Szwajcarya, czyli kraje specyficznie chłopskie, pierwotnie demokratyczne i równościowe, które miały pod wieloma względami zupełnie odmienną drogę rozwojową i nie w taki sam sposób, jak inne, były bite falami rozwoju kapitalistycznego. To nas skłania do sformułowania następującego ogólnego wniosku: że alkoholizm jest specyficzną plagą społeczeństw, które dotknięte są i kapitalizmem i — brakiem kapitalizmu.

Nie zapominajmy przytem o ciekawym przyczynku do społecznej etyologii alkoholizmu, danym przez prof. Masaryka z Pragi czeskiej w jego dowcipnem i głębokiem zarazem przemówieniu. Ponęta alkoholu, zdaniem jego, na tem polega, że człowiek sam się oszukuje: oszustwo to zaś ma na celu wogóle głównie fikcyjny niejako powrót do stanu natury, negacyę nakazów i konwenansów społecznych, nawarstwionych, odwiecznych, dziś szczególnie powikłanych. Chłop pije dlatego, że w karczmie wszyscy są równi. Alkoholicy skrajni i umiarkowani z klas wyższych uzasadniają użycie napojów wyskokowych tem, że przy kielichu serca się otwierają lub że na dnie jego znajduje się prawda. Wogóle ludzie szukają w kieliszku ucieczki od teraźniejszości, *falsyfikatu utopii*. Szczególnie przejawia się wówczas protest przeciw wszelkim normom, w które społeczeństwo ujęło popęd miłosny. W brutalności po pijanemu ludzie szukają także samopoczucia siły — ale szukają go w napoju dlatego, że faktycznie są słabi. Oto źródło alkoholicznych natchnień w poezyi, tak licznych i niepospolitych. Przyczynia się do tego i ta okoliczność, że jest ono nietylko powrotem do stanu natury, ale zarazem do fetyszyzmu, dobrowolnem wskrzeszeniem w umyśle zarzuconej po trzeźwemu fazy zabobonu i cudowności; objawem strachu człowieka współczesnego przed nieubłaganem myśleniem pozytywnem, jasnem i konsekwentnem, przed spoglądaniem prosto w oczy teraźniejszości i przyszłości.

Dr. Rudolf Wlassak określa niebezpieczeństwo alkoholizmu z punktu widzenia psychologii społecznej tem treściwem zdaniem: „ułatwia on myśl o przyszłości, utrudnia drogę do niej.“ Zdanie to, zgodne z wywodami Masaryka, tłomaczy też i uzasadnia stanowisko, zajęte obecnie względem alkoholizmu przez opozycyonistów społecznych. Nie chcą oni budować wniosków na tym *falsyfikacie utopii*, który powstaje w umyśle alkoholika, ani na tej skłonności odruchowej do buntu przeciw powagom, który w uczuciowości jego spostrzegają psychiatrzy. „Potrzeba nam — mówi Blocher — ludzi zdrowych, kwitnących, pięknych, którzy w życiu radość widzą.“ „Ci tylko — kończy swą rzecz Vanderwelde — godni będą światem rządzić, którzy się nauczą panować nad sobą.“ Współwyznawca ich, sędzia wyższy, Otto Lang z Zurychu; w referacie swym p. t. „Alkoholizm a walka klas“ twierdzi, że z jego punktu widzenia alkoholizm zawiera poważne niebezpieczeństwo ekonomiczne, bo czyni najemnika skłonnym do zadawalania się surogatem, ułudą, zmniejsza jego oporność wogóle. Z początku stanowisko tych żywiołów względem propagandy i organizacyj antyalkoholicznych było nieprzystępne, podejrzliwe; nie chciano „odciągać od głównego zadania.“ Dziś zachodzi zmiana, którą i w tylu innych spra-

*) Dr. Heynen, cytowany przez Vanderweldego, pisze: „Ludzie nie mogą przystosować się do nagle zwiększonej intensywności życia i w okresie przejściowym uciekli się do alkoholu, jako najskuteczniejszego i najponętniejszego środka pudulety.“

wach spostrzegano już nieraz. Opozycyoniści społeczni dawną swą niechęć do ruchu antyalkoholicznego tłomaczą tem, że ów ruch przeczyłby podkładowi społecznemu alkoholizmu — a teraz sami próbują tym ruchem zawładnąć i nadać mu swoje zabarwienie. Dr. Adler, Blocher, Katzenstein i w. in. sami dają przykład całkowitej wstrzemięźliwości od napojów wyskokowych. I oni kładą nacisk na stronę etyczną kwestyi, na potrzebę indywidualnej pracy nad sobą i przerabiania się już w ramach teraźniejszości ludzi, powołanych do reform. Wbrew odosobnionym głosom Nieuwenhuisów, nie chcą oni odkładać tępienia alkoholizmu do chwili wejścia na ziemię obiecaną. Propagandę przeciw alkoholizmowi uważają za niezbędną w każdym razie, tem bardziej, że bez niej szkodliwe użycie alkoholu, filisterstwo piwne itp. objawy mogłyby najzupełniej istnieć nadal nawet w społeczeństwie Bellamy'ego, zapewniającem przecie każdemu swobodne spożycie przypadających bogactw w formie dowolnej — i propagandę tę zaczynają prowadzić już dzisiaj.

Ale jednocześnie sprawa alkoholizmu przybiera formę i rozmiary całej kwestyi kulturalnej, wiąże się mnóstwem sieci z całą budową społeczną teraźniejszości, odsłaniają się wielkie trudności dla jej postępu, że już nie mówię o rozwiązaniu. Póki ruch antyalkoholiczny był czysto etycznym, a więc (mimo pozorów!) jednostronnym i słabym, zewsząd spotykała go sympatya lub w najgorszym razie pewna ironiczna tolerancya i obojętność. W Austryi cały system finansowy skierowany jest ku podniesieniu renty gruntowej, gorzelnictwo cieszy się czułą opieką. Zobaczymy w dalszym ciągu, jak dalece w Galicyi siły państwowe hodują i podtrzymują alkoholizm. Dziś zakończymy malowniczym a charakterystycznym obrazkiem sąsiedniej Bukowiny: niektórzy proboszczowie, dbali o doczesne i przyszłe dobro swych owieczek, zaczęli odwodzić je od wódki. Brali beczkę spirytusu, procesyonalnie zakopywali ją w ziemi, a na kopcu — na grobie pijaństwa stawiali krzyż z napisem: „Na pamiątkę wyrzeczenia się gorzałki przez całą gromadę...“ Kiedy jednak tylko ruch zaczął się rozszerzać, proboszczowie gorliwi otrzymali delikatną wskazówkę z góry, że ta gorliwość za daleko posunięta, może jest za — skuteczna... I ucichło...

Duże i zasłużone powodzenie miał referat pani dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej p. t. „Alkoholizm i stosunki społeczne niektórych okręgów galicyjskich.“ Autorka, w braku wszelkich robót przygotowawczych, oprócz skąpych dat statystycznych, przeprowadziła na własną rękę sumienną ankietę za pomocą kwestyonaryuszów, listów, osobistych rozmów itd. Wyniki tej ankiety obejmują miasto Kraków z 85-tysięczną ludnością (w Krakowie — mówiła autorka — piją dużo, bo jest to przecie miasto muz) oraz terytoryum naokoło miasta, zawierające kilka miasteczek: Podgórze, Wadowice, Myślenice, Bochnię, Suchę, Brzesko, Limanowę z 44,404 ludności, 44 gminy wiejskie z 55,960 mieszkańcami. Stosunki tego terytoryum są, zdaniem referentki, typowe dla całej Galicyi zachodniej.

Pomimo swojej opinii pijackiej, pomimo swego społecznego z r. 1877 prawa przeciw pijaństwu, które, jak obiecywał minister Hartel, ma być rozciągnięte i na inne kraje koronne, Galicya nie pije bynajmniej więcej od innych krajów Austryi. Przeciętne cyfry na głowę ludności były w r. 1893: wódki 50-procentowej 9,71 litra, piwa 13,97; w r. 1899: wódki nieco mniej — 9,08, ale za to piwa znacznie więcej — 17,91. Wino dla szerszych mas nie ma znaczenia, chociaż za to obywatel, proboszcz wiejski, dają na niem chłopu niepospolite przykłady alkoholizmu. Co jednak czyni względnie umiarkowane spożycie alkoholu tak niebezpiecznem i widocznie szkodliwem, to opłakany stan odżywiania się ludności. Przytem wódka, sprzedawana w Galicyi, jak wykazał w swym czysto fachowym odczycie dr. Bendzyński, profesor hygieny w uniwersytecie krakowskim, zawiera znacznie więcej, niż przypuszczać można, specyalnie szkodliwego fuzla. Aby dopełnić udziału Polaków w kongresie, wspomnę o wydanym w odbitce z *Wiener Tagblatt* udatnym popularnym artykule dr. Henryka Kowalskiego, docenta hygieny w seminaryum nauczycielskiem w Tarnowie p. t. „Działanie alkoholu na organizm ludzki.“

Następujące zjawiska przyczyniają się do wzmagania alkoholizmu: przechodzenie ludności rolniczej do szeregów przemysłowych, upadek stanu rzemieślniczego, skąpe, monotonne i niehygieniczne odżywianie się ludności, wiara powszechna w leczniczą wartość wódki dla dzieci i dla dorosłych, brak instytucyj, w którychby popęd towarzyski i organizacyjny ludności mógł znaleźć zaspokojenie, jak hal targowych, herbaciarni, giełd pracy itp., targi i jarmarki, te pierwotne organy handlu dla ludności wiejskiej, pobór rekruta, agitacya wyborcza, wędrówki zarobkowe i wogóle niestałość stosunków zarobkowych, nizki stopień oświaty. Wreszcie, zdaniem autorki — do zwiększenia pijaństwa przyczynia się i ta okoliczność, że większość szynkarzy stanowią Żydzi. Wprawdzie w okolicach, jak w Suchej, gdzie szynkarzami są wyłącznie katolicy, piją nie mniej, jeśli nie więcej, niż gdzieindziej; ale Żydzi są zręczniejsi w wyszukiwaniu sposobów rozpajania, więcej kredytują, częściej są karani za urządzanie tajnego wyszynku itp.

Referentka zwróciła uwagę na nadzwyczaj trudną do przebycia przeszkodę dla wszelkich usiłowań zmniejszenia spożycia alkoholu w Galicyi: na prawo propinacyi i podatek spożywczy miejski od wódki. Miasta ciągną ogromny dochód z tego podatku; takie miasteczko, jak Myślenice, ma z niego 10 koron rocznie od głowy ludności! Historyę i działanie prawa propinacyi wyjaśnił w specyalnym, ostrzejszym koreferacie b. poseł, dr. Roman Jarosiewicz. Prawo propinacyi sprzedali obywatele ziemscy w r. 1890 krajowi za 60 milionów złr. W r. 1910 ma ono być zniesione; trzeba więc, aby do tego czasu kraj odzyskał wyłożoną a tak znaczną sumę. W tym celu prawo propinacyi jest wydzierżawiane, a dzięki wszechwładztwu szlachty i jej wpływowi na komisyę, zarządzającą propinacyą pod przewodnictwem namiestnika — wydzierżawiano jest tej samej szlachcie, od której je odkupiono. Szlachta oczywiście sama nie prowadzi wyszynku, ale poddzierżawia swe koncesye pachciarzom. Ci zaś muszą płacić bardzo drogo, a więc rozpajają ludność i fałszują wódkę, dolewają wody, a dla dodania mocy podprawiają szkodliwemi substancyami, witryolejem, kwasem siarczanym itp. Szynkarz taki musi być jednocześnie agentem wyborczym w rękach szlachty, która go czyni tym sposobem zupełnie zależnym od siebie, odwołalnym dowolnie, a w sprawach spornych podpadającym pod kompetencyę nie sądów, lecz policyi starostwa. Szlachta nie zawiera z pachciarzem właściwej umowy dzierżawnej, lecz robi go tylko zastępcą. Ta znów niepewność stanowiska sprawia, że szynki nie są nawet jako tako przyzwoicie zagospodarowane, lecz stają się najokropniejszemi norami.

Opór warstw politycznie decydujących przeciwko próbom poważnego ograniczenia alkoholizmu, musi być nadzwyczaj silny, ponieważ do produkcyi wódki przystosowane jest właściwie całe gospodarstwo rolne; także z punktu widzenia budżetowego kraj biedny, pozbawiony innych gałęzi przemysłu, nie daje innego materyału podatkowego. Dlatego gruntownym środkiem leczniczym na alkoholizm będzie tylko — zdaniem p. Daszyńskiej-Golińskiej — rozwój przemysłu w Galicyi i naprawa odżywiania się ludu. Oświata, propaganda, zakładanie towarzystw antyalkoholicznych, kółek rolniczych, które dostarczają przynajmniej wina zamiast wódki itd., mają tymczasem jako tako przeciwdziałać wzrostowi pijaństwa. Do środków przeciwdziałających zalicza też pani D. G. zakładanie i uprawę ogrodów chłopskich, po pierwsze dlatego, że nie pozostawiają one czasu na uczęszczanie do szynku, powtóre, i głównie dlatego, że podnosząc wogóle dobrobyt chłopa małorolnego. Hodowla drzew owocowych wytworzyłaby w kraju zamiast wódki, produkcyę i spożycie win owocowych domowej roboty, zawierających tylko 2—3% alkoholu. Referentka domaga się poparcia rządu krajowego dla tej przyszłej gałęzi produkcyi.

Co prawda, dr. Nikoladoni z Lincu stwierdza, że w Austryi Wyższej, gdzie pijaństwa wódczanego prawie niema, wzrost spożycia piwa i win owocowych właśnie, będących narodowym produktem miejscowych chłopów zamożnych, wyraża się w smutnych objawach chorobliwych i kryminalnych; a p. Frank, dyrektor zakładu dla alkoholików w Szwajcaryi, w dyskusyi nad referatem pani D. G. twierdzi na zasadzie swych spostrzeżeń, że chłopi piją dużo wina owocowego właśnie dlatego, że jest słabe, a potem dla „wypalenia“ go, czyli zagłuszenia nieprzyjemnego uczucia, popijają — wódką. I wogóle, dzisiejsi antyalkoholiści z motywów hygienicznych lub etycznych nie przywiązują żadnej wartości do zastępowania wódki t. zw. napojami hygienicznymi, o ile nie są to napoje prawdziwie hygieniczne: herbata, kawa, czekolada, lecz wyskokowe: wino, piwo, jabłeczniki itp.; nie wierzą oni zresztą w to, aby słabszy napój alkoholiczny mógł wyprzeć istniejący. Zwykle jeden godzi się doskonale z drugim; tam, gdzie ludność pije dużo — pije dużo wszystkiego, co jej jest dostępne. Statystyka wykazuje, że departamenty francuskie, które piją najwięcej wódki, piją też ogromnie dużo wina; Normandczyk, Breton upija się i „cidrem“ i wszelkiemi wódkami. Zniżenie podatków lub popieranie wogóle „napojów hygienicznych,“ jak w r. b. we Francyi naprzykład, ma czysto ekonomiczne motywy i nie przyczynia się wcale do zmniejszenia złych skutków alkoholizmu *).

Rektyfikacya alkoholu z tych samych jedynie, czysto gospodarczych powodów, była podawana za lekarstwo na zatrucie alkoholiczne. miała ona zadowolić wszystkich: i szynkarzy, i gorzelników, i spożywców. Ale cały szereg lekarzy wykazał, że alkohol czysty jest zgubną trucizną; że co do innych przymieszek trujących, to np. wino naturalne zawiera ich więcej, niż wódka nieoczyszczona; że wódki spijane np. w szynkach belgijskich, są zupełnie pozbawione fuzla, a jednak wszystkie objawy alkoholizmu występują w tym kraju.

K. Radosławski.

*) Ob. Emil Cauderlier: „Über die Mittel gegen den Alkoholismus.“ Wien, 1901.



FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Niewłaściwy sędzia.

Jakkolwiek p. Kaprys, dając w *Kuryerze warszawskim* ostre napomnienia prasie postępowej, zastrzegł, że nie mówi o „całej,“ lecz „o jednym z jej weteranów.“ jednakże namnożył w swym żałosno obelżywym głosie tyle jej przewinień, że jego obraz wygląda na coś więcej, niż na portret. Bo jeżeli w nim jakiś „nieuznany poeta, wierzgający kopytkami,“ jakiś „literacik z pod ciemnej gwiazdy, rzucający się na kolegów,“ jakiś „eksbursz pozbawiony wszelkiej kultury umysłowej i obyczajowej,“ „jacyś redaktorzy, tolerujący pamfleciarskie popisy,“ słowem, cała banda urwisów lub opryszków. Byłby ten alarm bardzo przerażającym, gdybyśmy nie znali sztuczki optycznej, zwanej labiryntem lustrzanym. Do miejsca, gdzie w pewien sposób ustawione są zwierciadła, wprowadza się jedną lub dwie osoby, a przez wielokrotne odbicia powstaje z nich tłum. O ile domyślić się możemy faktycznego podkładu wspomnianej filipiki, p. Kaprys został naszpilkowany w jednem z czasopism postępowych i to mu dało podstawę do uchwycenia za sznur wielkiego dzwonu i ogłoszenia, że ogromna czereda postępowych bandytów napada i obdziera z czci masę porządnych ludzi. Nie wdajemy się w osobisty rachunek p. Kaprysa z jego przeciwnikiem, czy też przeciwnikami, zauważymy tylko, że jeżeli warszawska prasa postępowa ma być koniecznie postawiona przed jakim trybunałem, to doprawdy najniewłaściwszym dla niej sędzią jest chyba były jej Szaweł, a obecnie arcyżarliwy i bojowniczy Paweł pism skrajnie konserwatywnych — p. Kaprys.

Moralne bagno.

Sprawa wielkich nadużyć na kolejach Nadwiślańskich, którą ujawnił *Kijewlanin*, zanurzona chwilowo za pomocą „wyjaśnień“ i „zaprzeczeń,“ znowu jak korek wypłynęła na wierzch. Dziś już cyfra odkrytych oszustw nie obraca się w tysiącach, ale (według *Kuryera warszawskiego*) dochodzi do 3,500,000 rb. Gdyby tylko na niej poprzestać — a nasze informacye pozwalają nam mniemać, że ona sięgnie jeszcze nieco wyżej — można bez żadnej przesady w porównaniu powiedzieć, że mamy miejscową Panamę. Jak wspomnieliśmy dawniej, chodzi tu o działalność uorganizowanej szajki, złożonej z urzędników kolejowych, spekulantów i ich obrońców prawnych, która drogą fałszywych deklaracyj i frachtów łupiła koleje przez czas długi, ściągając od nich nienależne a olbrzymie odszkodowania. Przytaczano nam kilka charakterystycznych wypadków, w których oszustwa umożliwiał na pewnych stacyach brak odpowiednich wag, a które zdumiewają swoją bezczelnością. Może kiedyś czytelnicy z procesu, do którego materyały zbiera umyślnie przysłany z Petersburga sędzia śledczy, usłyszą wprost bajeczne opowieści, ile to podróży odbył wagon desek, jak z jednego powstawało kilka, a każdy z nich służył do wydobycia zapłaty za „niedobór“ itp. Powtarzamy, cośmy dawniej oświadczyli, że nas w tej sprawie nie obchodzą pieniądze, ale moralne bagno, w którem unurzało się tylu winnych i które rozszerzyło miazmaty daleko po za granice wykrytych przestępstw.

Wykłady letnie.

Pamiętamy dobrze te pociski i gromy świętego oburzenia, które do niedawna miotano u nas ze wszystkich szańców konserwatyzmu, uznających siebie za powołane do obrony „puszku dziewiczości“ i zatęchłej woni ognisk rodzinnych, na tych nielicznych stosunkowo burzycieli porządku społecznego, którzy mieli odwagę stanąć w obronie prawa kobiet do wyższego kształcenia się w uniwersytetach i korzystania narówni z mężczyznami z owoców pracy naukowej. Jakże prędko zmieniły się pojęcia! Dziś sprawa ta na Zachodzie została już niemal przesądzona, i blizki jest dzień, w którym kobiety będą mogły na tem polu święcić tryumf zupełny, skoro nawet w takich stańczykowsko-zachowawczych twierdzach, jak uniwersytety galicyjskie, zdołały one w ostatnich czasach poczynić obszerne wyłomy. Tylko jeszcze od czasu do czasu, gdzieś w Lipsku lub Getyndze, jakiś okaz mamuta w todze profesorskiej kładzie się olbrzymiem cielskiem we drzwiach swej auli i ryczy przeraźliwie do każdej zbliżającej się postaci niewieściej: „Nie pozwalam! Chyba po moim trupie!“

Ale całkowite studya uniwersyteckie, po za innemi przeszkodami, które niekiedy zwalczać jeszcze trzeba, wymagają zawsze dłuższego okresu czasu i znacznych stosunkowo środków pieniężnych. Tymczasem są kategorye pracownic praktycznych (nauczycielki np.), są osoby, garnące się wprost do wiedzy dla jej miłości jedynie, niemające czasu ani środków na długi pobyt w wyższych zakładach naukowych, pragnące jednak w krótkim przeciągu czasu uzupełnić w tej lub innej dziedzinie luki wykształcenia średniego i zdobyć sobie pewne wskazówki do dalszej pracy samodzielnej. Tę kategoryę słuchaczek miało zapewne przedewszystkiem na myśli grono profesorów uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, zapowiadając na koniec czerwca i pierwszą połowę lipca przy wszechnicy Jagiellońskiej szereg wykładów z rożnych dziedzin wiedzy, na które obecnie już zapisywać się można.

Wykłady rozpoczną się 24 czerwca i objąć mają obszerny dosyć zakres przedmiotów. Prof. Ulanowski mianowicie w sześciu wykładach zapoznać ma słuchaczów i słuchaczki z zasadami historycznemi prawa publicznego. Prof. Krzymuski (3 wykłady) mówić będzie o znaczeniu prawa i jego stosunku do pojęć pokrewnych; prof. Fieryel (3 wykl.) — o źródłach i znamionach postępu prawa. W sześciu wykładach prof. Czerkaski rozwijać zamierza naczelne zasady nauki gospodarstwa społecznego; tyleż prelekcyj prof. Czermak poświęci zasadom historyki ze szczególnem uwzględnieniem metody krytyki historycznej. Prof. Tretiak w czterech odczytach wyłoży podstawy teoretyczne historyi literatury; dr. Kopera poświęci sześć wykładów teoryi i metodyce historyi sztuki; prof. Rozwadowski (również sześć) — zasadom i wynikom językoznawstwa porównawczego.

Ponieważ niektórzy z wymienionych profesorów poświęcają w danym wypadku swój czas i swą wiedzę zupełnie bezinteresownie, więc opłata za prawo uczęszczania na tę ciekawą seryę prelekcyj, przy większym zwłaszcza napływie słuchaczów, będzie zapewne niewielka. Nie przeceniając wyników, sądzimy w każdym razie, iż proba wymienionych profesorów zasługuje na gorące poparcie i uznanie. *wb.*

Klęska sezonowa.

W tym roku rozpoczęła się ona wcześniej, niż zwykle. Od dwu tygodni płoną miasta i miasteczka. W gruzach i popiołach leżą: Góra Kalwarya, Brześć Litewski, część Pińska. W Brześciu Litewskim przed pięciu laty spaliła się doszczętnie dzielnica najuboższa, obecnie — najbogatsza. We wszystkich tych miejscowościach ogień płynął wielką falą, a ludzie bezbronni, bezsilni w niemej rozpaczy, poddawali się strasznemu żywiołowi. Tysiące ludzi zwiększyło szeregi nędzarzy, obarczających społeczeństwo i musiało się oddać w opiekę miłosierdzia publicznego. Powtarza się to stale, co rok; palą się doszczętnie wsie, miasta, miasteczka i osady i gdybyśmy chcieli zebrać skrzętną statystykę strat materyalnych, zrządzonych przez pożary, przyszlibyśmy do przekonania, iż jest to jeden z najpoważniejszych czynników ruiny ekonomicznej mas całych. Pomimo tak bolesnego doświadczenia, dotąd nie zdolano przedsięwziąć żadnych środków zaradczych. Przed kilku czy kilkunastu laty opracowano przepisy budowlane dla miast, miasteczek, wsi i osad. Miały one na celu zapobieganie wadliwym planom zabudowywania się. Dotąd jednak nie słyszymy, ażeby gdziekolwiek przepisy te weszły w życie. Ogólne ich zastosowanie w miejscowościach oddawna zabudowanych jest niemożliwe, ale bardzo łatwo byłoby przeprowadzić na zgliszczach. Tymczasem po spalonych doszczętnie miasteczkach, osadach, wsiach i dzielnicach miast powstały znowu dawnym zwyczajem zabudowania, wadliwie i niebezpiecznie rozmieszczone. Obecnie po tak dotkliwych klęskach warto byłoby te przepisy odnaleźć i zastosować z całą energią, rozumie się w ten sposób, ażeby zbytnia formalistyka w wykonaniu prawa nie krępowała i nie zacierała jego idei. Po za tem do ważnych warunków należą organizacye opieki nad dziećmi, starcami i obłąkanymi, którzy najczęściej stają się mimowolnymi lub niepoczytalnymi podpalaczami. Wreszcie niezbędna jest dobra organizacya straży ogniowych.

LITERATURA I SZTUKA.

CHIMERYCZNY POGLĄD na stosunek społeczeństwa do sztuki.

II.

P. Przesmycki jest sprzeczny z sobą, gdy rozprawia o oporze, stawianym przez tłum nowym prądom w sztuce. Po pierwsze bowiem, jeżeli sztuka nic wspólnego z tłumem nie ma, to co obchodzą sztukę i mistrzów opory z jego strony? Po drugie, p. Przesmycki wie doskonale o mianowej już pono prawdzie, że tylko z trudem wielkim przeciskają się do mózgów ludzkich nowe idee. Prawo inercyi panuje w świecie zjawisk intelektualnych podobnie, jak w świecie materyalnym. Nie bardzo tylko wiemy, po co tutaj wplątano „tłum“ i skąd się wzięło twierdzenie dowolne, że „ciało ma stanowczą przewagę w tłumach, duch działa w jednostkach twórczych.“ W każdym razie pewnem jest, że nowe prądy myśli twórczej w nauce i sztuce natrafiły na opór przedewszystkiem nie w tłumie, w którym jakoby „przeważa ciało,“ lecz w jednostkach twórczych, w których „działa duch.“ Podobno najzaciętszym wrogiem romantyzmu mickiewiczowskiego był Śniadecki, a ten był niejako „duchem twórczym“; pierwszymi przeciwnikami teoryi Kopernika byli Luter i Melanchton— także niby duchy twórcze; niezrozumiałym pozostał Böcklin dla takiego Puvis de Chavanne — także niby ducha twórczego; bezwzględnie odpornie zachował się Goethe wobec dzieł Heinego — a niby także był duchem twórczym. Co więc temu winien tłum?

Wogóle p. Przesmycki, który powołuje się na Lombrosa i Le Bon'a *Psychologie des foules*) nie zdaje sobie sprawy z tego, o ile i w jaki sposób można mówić o psychologii i zbiorowem oddziaływaniu tłumów. O pierwszym mówi z zaciekłą nienawiścią, a wywodom drugiego przytakuje, pomimo że krytyka fachowa wykazała temu panu błędy w założeniu, przekręcanie faktów, naciąganie wniosków.

Tłum, jako taki, nigdy nie wytwarza sobie pojęć o rzeczach tak odczuwanych, jak nowe prądy w sztuce. Wyrabia pojęcie osobno dla siebie Jan, Piotr i Paweł, ale tysiące Janów, Piotrów i Pawłów, stanowiących tłum, nie ma i mieć nie może specyficznego poglądu na sztukę. Jeżeli więc chodzi o ową przeklętą inercyę, co się kładzie w każdym z nas kamieniem, broniąc dostępu nowym ideom, winmy mózg ludzki, lecz nie jakieś *ad hoc* stworzone czupiradło, któremu, nadawszy nazwę tłumu, każemy pokutować; to zabawka dziecinna.

Jany, Piotry i Pawły urabiają sobie przeważnie zdanie o nowych myślach i dziełach sztuki pod wpływem Zenonów, Kazimierzów, Leonów—krytyków. Z tych krytyków jedni są duchami twórczymi, inni nie są nimi, jeno rzemieślnikami, wyrabiającymi poglądy. Z tymi krytykami wieczny jest kłopot! Urąga im słusznie Mickiewicz, szpetnie łży p. Przesmycki. Za to znów wdzięcznym byłby zapewne Mickiewicz krytykom, którzyby wytłomaczyli Janom i Pawłom, jak piękne są *Dziady*.

P. Przesmycki twierdzi, że, ogólnie biorąc, dzisiejsza krytyka, to już ostatni wyraz wszelakiego łotrostwa, nieudolności, nieuctwa itd. itd. Może i prawda; ale też prawdą jest pono, że mamy dziś krytyków jak Chmielowski, Karłowicz, Witkiewicz, Świętochowski i — Miriam.

Od wieków więc trwa rozterka pomiędzy geniuszem a—nie „tłumem," jak chce p. Przesmycki — lecz ogółem i prawdopodobnie tak będzie na wieki. To też nam, ogółowi, w świętym gniewie rzucali, rzucają i rzucać będą gromy oburzenia geniusze, jak je rzucał Mickiewicz, Kochanowski, będą nas karcili i słusznie. P. Przesmycki zaś, który geniuszem nie jest — zrzędzi, a to całkiem co innego.

Powiedziawszy tedy sporo brzydkich rzeczy „tłumowi," materyalistom, krytykom niepowołanym, dotarł nareszcie do jądra złego: jest niem „rewolucya francuska i czasy napoleońskie," które wprowadziły na widownię świata, i to pod hasłem bezwzględnej równości, całe nowe, dotychczas nieuczestniczące w życiu duchowem, masy społeczne, i dały sztuce nową „publiczność, różną od tego, co tak się zwało przed rokiem 1789." Tym to „nowym warstwom" chce się bliżej przyjrzeć nasz apostoł „zupełnie objektywnie." Lecz wnet znikają mu z przed oczu wszelkie „warstwy" i pozostaje jakiś chaos, z którym ani rusz nie może sobie poradzić. W końcu wszelako trzeba było temu „coś" dać nazwę. Zapożyczył jej u Flaubert'a: *j'appelle bourgeois quiconque pense bassement*, i wyjaśnia to jak następuje: „albowiem *burżuazyi* nie stanowi pewna klasa, pewna warstwa społeczna, lecz wszyscy, którzy myślą nizko, płasko, przyziemnie" itd. Tę burżuazyę znowu stworzył — według p. Przesmyckiego — August Comte! Ten „genialny wulgaryzator jest pra-przyczyną wszelkiego złego. Zupełnie jak w bajce o kogucie, co zapiał nie w porę.

Wyraz „burżuazya," który powstał historycznie, ma pewne powszechnie uznane znaczenie i można już byłoby je pozostawić, gdyż pod tą nazwą zwykle rozumiemy faktycznie jedną warstwę, a kiedy chodzi o stosunek społeczeństwa do sztuki, to właśnie człowiek, posiadający choć trochę zmysłu krytycznego, musi pamiętać, że każda z tych warstw społecznych, posiadając odmienne warunki życia, będzie składała się w większości z jednostek inaczej reagujących na czynniki kulturalne, a więc i na sztukę. Co zaś do Comte'a, to już na pewno nie on stworzył burżuazyę, ale burżuazya jego; w nim bowiem skrystalizował się jej pogląd, tylko nie burżuazyi w powyższem chaotycznem znaczeniu, jako określonej warstwy społecznej, a jego filozofia przez pewien czas znalazła oddźwięk rozgłośny dlatego właśnie, że była doskonałem narzędziem do obrony stanowiska klasowego, kapitalistycznego.

Tak się przedstawia rzecz, a tylko ze stanowiska owej „Froschperspektiwe" można dojść do uogólnień dziwacznych, gdzie razem znajdują się zamiast „warstw" jacyś demokraci, którzy „zapomnieli, że są ludźmi"; uczeni, którzy „eksperymentują rzemieślniczo pod hasłem *ignoramus et ignorabimus*, księża, którzy „zapominają o celach religijnych," „reformatorzy społeczni i ekonomiści, którzy nie chcą wiedzieć o żadnych celach i zadaniach człowieka," artyści, którzy „schodzą do roli kopistów i rzemieślników." Dlaczego zaś wszyscy się skupili razem, trudno zgadnąć.

Z drugiej znów strony o owej gromadce, która po rewolucyi stała się „publicznością dla sztuki, dowiadujemy się tylko, że zrobiła brzydki nabytek: nauczyła się czytać i pisać, że jest gruboskórną i nie ma najmniejszego pojęcia o sztuce. Ciekawa zaś rzecz, dlaczego ostatecznie wytworzyła się w w. XIX najpierw sztuka i literatura o niezmiernie wybitnym charakterze — „romantyczna," dlaczego następnie nastąpił okres realizmu w sztuce, i dlaczego ostatecznie sztuka najnowszej doby różni się od dawniejszej? Czyżby wszystko dlatego, że właśnie owa publiczność jest taką głupią, gruboskórną, uczy się czytać i pisać? I dlaczego, skoro już tak wszyscy „walczą przeciw sztuce," rozkwitła ona właśnie w owym wieku XIX tak pysznem kwieciem, jakiem nie kwitła ani w wieku XVIII, ani w XVII, tego już w żaden sposób nie dowiemy się ze słów p. Przesmyckiego. Nie powiedział nam także, dlaczego to właśnie od roku 1789 datuje się owa „walka ze sztuką"? Czyżby wierzył, że wdzięczniejszą „publicznością" dla sztuki była owa *canaille* w rękawiczkach, która nadawała ton już od lat stu przed rokiem 1789, owi *traitans*, o których z takiem oburzeniem mówi zacny Maréchal Sebastien le Prêtre de Vauban, że dla kabzy swojej narazili lud francuski na zgubę ostatnią, są zakałą narodu i żyć nie dają porządnym ludziom; owi robigroszemanufakturzyści, przedstawiciele idei mieszczańskich, którzy powstali przecież nie po r. 1789, lecz znacznie wcześniej, a w tym roku pamiętnym zdobyli tylko uświęcenie prawne swego panowania mieszczańskiego, ścinając jak makówki głowy swych współzawodników szlacheckich? Albo owe Pompadoury męskie i żeńskie, hołota dworska, tonąca w zbytku, rozpuście i płytkości, spodlała, zgangrenowana na duszy, na której obmierzłość nie staje gromów takiemu *grand seigneur* starej daty, jak Viktor Riquetti Marquis de Mirabeau. Czyż rzeczywiście społeczeństwo nowożytne pod względem aspiracyj prawdziwie kulturalnych stoi niżej od owej hałastry?

P. Przesmycki nie jest Dantem, ja tem mniej Virgilem; lecz gdybyśmy tak przeszli się razem po piekle społeczeństwa nowożytnego? Możebyśmy zobaczyli tam ciekawe rzeczy, o których kapłani absolutu nie wiedzą. A więc:

Nie, żeby mówić o stosunku społeczeństwa do sztuki, nie wystarcza chęć objektywnego przyjrzenia się warstwom, które przestają być warstwami; trzeba znać cokolwiek to społeczeństwo i siły, które niem poruszają.

Jesteśmy w jednem z owych „miast pijawczych," w samem sercu tego potwora; huk młotów, zgrzyt kół, kłęby pary, ostre wonie kwasów i ługów, dokoła zaś pełno ludzi, jak mrowia. Zatarły się dla nich dawne ideały, sielanki i spokoju nie znają, czas dla nich pędzi szalenie, a każda chwila przynosi nowe walki; nie niema stałego, wir porywa wszystko, rewolucya wieczna. To w nich wytwarza nowy pogląd na świat, w którym punktem ciężkości jest przeświadczenie, że tylko przemiana jest wieczną.

Takim jest byt całego tego społeczeństwa. Czy kapłan absolutu rozumie, że ci ludzie nigdy nie mogą myśleć tak, jak myśleli ich ojcowie? Może to właśnie tylko ten kapłan i jego najbliżsi nie pojęli tego nowego piękna, może to oni tylko są zbyt drobni, zbyt wątli, zbyt ciaśni, aby mogli zrozumieć olbrzymią wielkość tych ciągłych wybuchów wulkanicznych w sferze zjawisk społecznych.

Nie masą jednolitą, nie gromadą chaotyczną jest społeczeństwo; rozpada się ono na klasy i warstwy, a przedewszystkiem na dwa wielkie odłamy: posiadających i wydziedziczonych. I oto ci, którzy posiedli, boją się stracić; dla nich dobre tylko to, co broni od wtargnięcia nowych żywiołów w ich dziedzictwo. Sztuka — mniemają jedni z nich — jest po to, by dodała im blasku, nauka po to, by broniła ich posterunków; nowego im strach, więc wielbią powagi, klną tych, którzy wyłamują się z pod ich władzy; więc kładą się kamieniem i na ruch nowy nie pozwalają. Inni znów pełni są przesytu i obrzydzenia, utracili wiarę w swoją klasę, w pogoni życiowej pozbyli się ideałów, więc szarpią się nieszczęśliwi; tylko to, co jest wiecznie nowe, wiecznie zmienne, może ich zadowolić.

A owi drudzy? Ci wierzą i pragną i zrywają się do lotu. Ciężkiem brzemieniem na nich legła przeszłość; są jakby do ziemi przytłoczeni, lecz oto zbudzili się i szukają dróg. Wielu z nich już uwierzyło w to, co jest najpiękniejszego: w sztukę wyzwolicielkę i w szczytną naukę wiodącą do prawdy. Nie wierzysz, Chimerzysto? Chodź, pokażę ci! Patrz, oto w izbie ciasnej, na poddaszu, przy świetle lampki lichej, nad książką zasiadł człowiek To jeden z pracowników. Gdy jeszcze spać będziesz słodko, on do pracy pospieszy ciężkiej, wyczerpującej nerwy, nużącej mięśnie; a przecież o północku oczom sen kradnie — bo szuka prawdy. Zaiste, więcej ukochał on tę prawdę, niż wielu z tych, których szczęśliwszymi uczyniło życie. A takich tysiące i tysiące tysięcy—mówię, bom na nich patrzał. I jeszcze ci pokażę: Jesteśmy w Dreznie; mijamy „Zwinger," ów „Zwinger," w którym mieszczą się skarby sztuki; podobno nie dla samej czystej miłości sztuki zgromadzili je tu królowie Saksonii. Jeden słał do Wenecyi pieniądze, bo lubił nie tyle obrazy piękne, co piękne ciała kobiece malowane; drugi gromadził obrazy, bo dumnym był z tego tylko, że takich jak on nikt nie ma. Teraz demokracya otwarła naoścież drzwi i tysiące lubują się pięknem. Wchodzimy do uliczki bocznej: w wielkiej sali stoi jeden z tych, co jak Ty, Chimerzysto, ukochali sztukę, lecz inaczej może, niż Ty, pojął służbę dla niej, a przed nim tłum tysiączny maluczkich, a on im mówi o Michale Aniole, o Rembrancie, o Böcklinie i Klingerze. Patrz, jak im oczy płoną, jak gorują lica. Pójdą do domów bogatsi na duszy, więksi, czyściejsi; a z zasiewu tego wyrośnie — wierzę, że wyrośnie — plon obfity.

Dr. J. B. Marchlewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE



LITERATURA. Tarnowski: „Józef Szujski jako poeta," str. 200, Gebethner i Wolff.

— Korbut: „Michał Wiszniewski i puścizna po nim." Wende.

POEZYA. „Dreyfusyada," poemat w IV pieśniach Nakład autora.

GEOGRAFIA. W. Nałkowski: „Ziemia i człowiek." Szkice i studya geogr. Fiszer.

FILOZOFIA. Ribot. „Współczesna fizyologia niemiecka," przekł. Kozłowskiego i Bartoszewicza *Przeg. Filozof.* Skład Wende.

— John Ruskin. „Królowa powietrze," studyum nad greckimi mytami o chmurach i burzach. Przekł. Szukiewicza str. 239. Paprocki.

BIOGRAFIA. Gumplowicz: „Żywot Baldwina Gallusa biskupa Kruszwickiego" (1066—1145) Wende.

— St. Karczewski: „Uroczystość sadzenia drzew." Tow. Ogrod.

— Dr. St. Pilipkiewicz. „Cieplice trenczyńskie, na górnych Węgrach." Kraków Krzyżanowski.

WYDAWNICTWA LUDOWE I DLA MŁODZIEŻY. H. Orsza: „O naszych pierwszych książkach, dawnych szkołach i uniwersytecie krakowskim," str. 134 kop. 20 księg. J. Sikorskiej.

— „Legendy czyli cudowne powieści z dawnych czasów." Cz. IV. str. 57 księg. J. Sikorskiej

— B. Leśniewski: „500 powinszowań," wyd. II poprawione i dopełnione przez Or—Ota. Paprocki.

POEZYE

Z pieśni dorobowiekich. Cykl „Ziemia."

W Y N I A.
(Rzeczułka).

I.

Ślizga się moje czółno po wązkiem korycie,
Przesuwa śród kaczeńca i grążeli splotów;
Jakby mi ptaki swoich użyczyły lotów,
Czuję się wolnym na tym ruchomym błękicie.
Przez gęste olch nadbrzeżnych zielone przykrycie
Nie odczuwam słonecznych rozżarzonych grotów,
Lekko mi — już nie pomnę walk życia — i gotów
Byłbym, puściwszy wiosła, prześnić tutaj życie.
Pod łodzią aksamitny szlak z przecudnych tkanek,
Z liści, z porostów snuje dłoń rzecznych mieszkanek
Do zamku spiętrzonego z chmurek białych puchów,
Którego fala zarys kołysze rozwiewny...
Może zeń wyjdzie postać białej wód królewny
Na szlak tkany rękami boginek i duchów?

II.

Przed laty sześćdziesięciu o wiosny powrocie
Przylatały tu pary wędrownych łabędzi,
Wydry igrały z falą, bekasy na błocie,
Bąk huczał w oczeretach, u stawu krawędzi
Były ślady chat bobrów.—Z wiosną, gdy kra pędzi,
Przy trzaskających lodów strasznym łoskocie,
Zdało się, iż nurt wściekły nic już nie oszczędzi:
Las zalał, dęby walił, jak nikłe paprocie,
Wzgórza podmył. Dziś—wyschły krynice i zdroje,
Rzeka w zwężonych brzegach toczy wody swoje—
Znikły wydry, łabędzie, bąk, wierzby z moczarów —
Znikły wierzbowe fletnie. Wędrowiec z daleka
Wrócony — słuch wytęża — tęskno—na coś czeka —
Ach to wierzbowej „dudki" żal mu śpiewnych czarów.

III.

Tak: oniemiały błonia—zmilkły one trele,
Które tu niegdyś wiejskie grywały chłopięta:
Przycichły ptasząt leśnych rozgłośne kapele
I rozsmucona po nich stoi ziemia święta:
Że brak kurhanom pieśni, że kości w popiele
Skarżą się, iż tak mało kto o nich pamięta,
Że sterczące z pod mogił wyschnięte piszczele
Są jako po jałmużnę ręka wyciągnięta...
Zmilkły prostacze „dudki," których swojskie tony
Podniecały poetę ku pieśni natchnionej,
Znikły jak wyschłe źródła, zamulone strugi.
Czasem śród pól się jakiś obcy ton ozowie...
Lecz czy w nim głos swych dzieci poznają Ojcowie?
Kiedyż, kiedy się zjawi piewca „Dziadów" drugi?

Adam M—ski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZYCZYNEK DO KWESTYI ROLNEJ.

I.

W jakim kierunku postępują stosunki własnościowe i wytwórcze w rolnictwie? Na temat ten wciąż jeszcze spór jest otwarty, zdania podzielone. Biorąc do ręki gołe cyfry statystyczne, można tu i owdzie wykryć mylność twierdzenia czy przepowiedni, że w rolnictwie własność i wytwórczość postępują w tym samym kierunku, co i w przemyśle, tj. w kierunku koncentracyi. Nie trudno tego dowieść, zwłaszcza wtedy, gdy się posługuje statystyką w sposób mechaniczny, nie troszcząc się o to, jakie rzeczywiste stosunki społeczne ukrywają się po za cyframi, jaki ruch społeczny tkwi w rzeczywistości na dnie ruchu cyfr, dążących niby w kierunku odwrotnym do znanych przepowiedni. Zapominano przytem bardzo często o specyalnych warunkach miejsca i czasu, w których badano rozwój stosunków w rolnictwie. Zapomniano przedewszystkiem o *chronicznym kryzysie*, panującym w rolnictwie europejskiem od ósmego dziesięciolecia XIX w. Jasnem jest wszakże z góry, że za pomocą cyfr, zaczerpniętych z krytycznego stanu rolnictwa, nie można obalać teoryi, której przesłanki opierają się na warunkach normalnych, jak również, że nie można wyrzec ostatniego słowa, dopóki przewroty, wywołane kryzysem, nie ułożą się w sposób mniej więcej normalny.

Można, zaiste, sprzeczać się o to, czy kryzys rolniczy wogóle się skończy, można nawet przypuszczać, że w panującym okresie kapitalistycznym rolnictwo europejskie nie wyjdzie wcale z mniej więcej chronicznego stanu krytycznego. Ale czy przez to stosunki rolnicze mogą wstrzymać proces kapitalizacyi społecznej i jego skutki, czy przynajmniej mogą odwlec ostateczne wyniki tego procesu — to inna sprawa.

Wsteczni ekonomiści i politycy, a z nimi t. zw. *Bernsteinowcy*, widzą w rozwoju drobnych gospodarstw rolnych objaw (nie wszędzie zresztą istniejący), zdolny przeciwdziałać i mniej więcej zwolnić bieg rozkładowego procesu kapitalistycznego, spóźnić co najmniej jego skutki niechybne. W utrzymaniu się drobnych gospodarstw rolnych widzą wyjątek z reguły rozwoju kapitalistycznego, do którego nietylko nie można stosować praw ogólnego rozwoju kapitalizmu, lecz który przeciwstawiają temu rozwojowi jako sferę z innemi prawami ogólnemi. Pomijając już to, że krytyczne położenie rolnictwa, być może, zasłania tylko, lecz nie znosi praw ogólnych kapitalizmu, ekonomiści ci popełniają ważny błąd metodyczny, o ile rozpatrują stosunki rolne samo w sobie, w oderwaniu od rozwoju kapitalizmu i rynku międzynarodowego. Już sam wszakże stan krytyczny rolnictwa, który utrudnia prowadzenie wielkiego przedsiębiorstwa czysto rolnego i często czyni korzystniejszem gospodarstwo małe, włościańskie, sam kryzys, wywołany wzrostem renty gruntowej wskutek rozwoju przemysłu, handlu, miast i gęstości zaludnienia — nie jest niczem innem, jak właśnie wyrazem rozwoju kapitalistycznego i rynku międzynarodowego, wyrazem postępu procesu kapitalizacyi, nie jego przeciwieństwem.

Stosunki rolne oraz ich tendencye stają się dopiero jasne w Kautsky'ego *Agrarfrage*, odkąd uczony ten, porzucając ślad dotychczasowych badaczów, zaczął je rozpatrywać z punktu widzenia rozwoju kapitalizmu, miast i ognisk przemysłowych. Z tego punktu widzenia drobne gospodarstwo i drobna własność rolna nie są czemś wyjętem z pod praw ogólnego rozwoju ekonomicznego, lecz przeciwnie, występują jako skutki postępu kapitalistycznego, często nawet jako konieczny warunek rozwoju wielkich gospodarstw kapitalistycznych, koncentracyi własności i wytwórczości rolnej.

Tą samą drogą poszedł Emil Vandervelde, znany poseł do parlamentu belgijskiego, profesor Nowego uniwersytetu w Brukselli. Praca jego o stosunkach rolnych w Belgii *) ma tem większe znaczenie, że autor poprzestał na badaniu kraju bardzo małego i zarazem bardzo przemysłowego, w którym stosunki rolne łatwiej zatem poddają się badaniu i w którym wpływ rozwoju przemysłowego występuje wyraźniej.

Pierwsza część tej pracy obejmuje monografie miejscowe, w których autor zebrał wyniki własnych spostrzeżeń, dokonanych na miejscu w trzech gminach i w których opisał bezpośredni wpływ przemysłu fabrycznego i miast na stosunki rolne blizko położonych wsi. Są to gminy La Hulpe, Rixensart i Genval. Co w nich przedewszystkiem uderza badacza, to sprzeczność między rolniczym, nieraz wyłącznie rolniczym wyglądem wsi, a rzeczywistością, głoszącą, że w niektórych tych wsiach $^4/_5$ ludności stanowią—najemnicy przemysłowi! Udają się oni rano do Brukselli, odległej dla wielu o 36 kilometrów i wracają wieczorem do domu, przejechawszy koleją do 72 kilom., nie licząc odległości od domu do stacyi i od stacyi do fabryki. Dzięki zaprowadzeniu tanich pociągów roboczych, około $^1/_4$ całej belgijskiej klasy robotniczej (100,000 osób) mieszka na wsi, a zarabia w mieście; 30—40 lat temu — powiada autor — robotnicy ci bandami w 50 osób i więcej udawali się w niedzielę wieczór do Brukselli, zabierając z sobą garnek masła i chleba na sześć dni. Teraz wszakże, dzięki tanim pociągom, wolą codzień wracać do domu, na wieś. W każdym razie wychodźtwo to było dawniej tylko wyjątkiem. Lecz w miarę wzrastania miasta, fabryk, gorączki budowlanej z jednej strony, oraz trudności otrzymania dostatecznych zarobków na wsi — z drugiej, wychodźtwo wzrosło do obecnych olbrzymich rozmiarów. Dawniej, gdy robotnik nie miał zajęcia z powodu złego sezonu, mógł zawsze zarobić jednego lub półtora franka przy młocce. Dziś wszakże farmerzy używają młockarni mechanicznych i dla zwiększenia personelu sprowadzają tanich robotników flamandzkich. W ten sposób objawił się podwójny ruch w kierunku szukania lepszych zarobków: „Wallończycy udają się do Brukselli, ale ich miejsce zajmują Flamandczycy i można powiedzieć, że w tej części kraju nie pozostało już nic z dawnej stałości wieśniaków."

Na tem wszakże nie kończy się wpływ miasta na te okolice. Wyrwawszy z nieru-

---

*) *La propriété Foncière en Belgique*. Paris. Schleicher Frères, 1900. Str. 327. (*Bibliothèque Internationale des Sciences sociologiques*, pod redakcyą prof. A. Hamon'a).

chomego stanu ludność wiejską, miasto jednocześnie wywołało olbrzymi wzrost parceli rolnych. Ale że ten wzrost drobniutkich gospodarstw rolnych nie jest wcale dowodem wyższości drobnej własności nad wielką, widać z tego, iż parcele te należą do owych pracowników najemnych, udających się codziennie do Brukselli. Jak to się stało?

Z powodu bliskości miasta płaca najemników dziennych zwiększyła się; podatki i ciężary miejscowe coraz bardziej obarczają rolników. Cena sprzedażna lub dzierżawna ziemi zwiększyła się, tak że gospodarstwo zbożowe nie opłaca się już wcale. Natomiast wartość roli znajduje się w stosunku odpowiednim do cen i coraz bardziej wzrasta, o ile powstają na niej domy, wille, ogrody, parki i wreszcie o ile jest wydzierżawiana robotnikom po kawałku na cele ogrodnictwa domowego i mieszkania dla rodziny robotniczej. W tych warunkach tradycyjna kultura rolna przestała popłacać i znikła. Natomiast zjawiły się zakłady ogrodnicze, szkółki leśne, parki i przedewszystkiem parcele, uprawiane przez robotników, a raczej przez ich żony i dzieci. Parcele te dostarczają rodzinom najemników na własne potrzeby kartofli, warzyw lub jarzyn, czasem pozwalają trzymać krowę i wogóle ułatwiają „wiązanie końców" budżetu rodzinnego. Innemi słowy: *małe i średnie gospodarstwa, wytwarzające wartości wymienne, dążą do zagłady; uprawa parcelowa, tworząca wartości użytkowe, rozwija się coraz bardziej.* A ponieważ ci, co wytwarzają te wartości użytkowe, są najemnikami przemysłowymi, więc nie jest to bynajmniej powrót do dawnych form produkcyi: *produkcya kapitalistyczna zamiast zawładnąć rolnictwem, zawładnęła rolnikami*, zamieniając ich lub ich dzieci na proletaryat przemysłowy.

Najemnicy ci, tysiącem nici związani ze wsią, pomimo pracy w mieście, trwającej około 8 miesięcy w ciągu roku, niełatwo poddają się wpływowi kultury miejskiej. Ponieważ większość mężczyzn wychodzi na zarobki do miasta, więc cała praca koło parceli spoczywa na barkach żon i dzieci, odrywając ostatnie od szkoły i wpływu oświaty. W miarę jednak zwiększania się stosunków wsi z Bruksellą widnokrąg wieśniaków rozszerza się. Blizkie, choć niewidzialne miasto nietylko zmienia charakter wytwórczości i granice własności rolnej, lecz oddziaływać zaczyna na dusze wieśniaków; jego działanie duchowe powoli przenika do bardzo odległych chat.

„Przechadzając się, w ciemne noce zimowe, po okolicach Hulpe lub Genvalu, można dostrzedz na niebie jakby blaski zorzy, podnoszącej się nad wierzchołkami lasu; są to światła Brukselli — o cztery mile odległości — które oświetlają obłoki i rzucają blade reflcksy na wsie, pogrążone we śnie.

To samo ognisko świetlane rzuca promienie swe w sferę inteligencyi. Powoli głowy się rozświecają; wieśniacy, oderwani od gleby, co wieczór wracają do chat swych z nowemi ideami, z nowemi uczuciami."

A. Warski.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Prawit. Wiest.* donosi: Rada państwa, zgodnie z przedstawieniem ministra wojny o dopełnienie przepisów, dotyczących powoływania wojsk do pomocy władzom cywilnym uchwaliła, że w razach wyjątkowych podczas nieobecności wojsk innej broni, wolno stosownie do decyzyi dowódców garnizonowych, wysyłać artyleryę pieszą (z szablami) oddziałami nie mniejszymi, niż w 100 żołnierzy.

— Senat wyjaśnił, iż prawo wydawania świadectw ubóstwa w sprawach urzędowych przysługuje wyłącznie sądom gminnym w ich pełnym składzie.

Wiadomości społeczne. *Gazeta Kaliska* donosi, iż setki wychodźców, którzy wyemigrowali do Prus, nie mogąc tam znaleźć zajęcia, powracają i szukają pracy w okolicznych dworach, jako ordynaryusze. Obawa głodu, przewidywana w Kaliskiem skutkiem grożącej klęski nieurodzaju, powoduje również wielu do powrotu na wzgardzone stanowiska całorocznego utrzymania. Powracają przeważnie robotnicy słabi i bardzo młodzi, gdyż takich Niemcy dziś już nie przyjmują.

— Izba handlowa w Erfurcie wniosła petycyę do rządu, aby nie puszczano więcej robotników z Królestwa Polskiego do okręgów przemysłowych niemieckich.

— Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze urządza w swoich ogrodach i pasiekach kursa 10-dniowe dla amatorów i zawodowców, którzy pragnęliby rozszerzyć zakres swoich wiadomości wskazówkami wykształconych praktyków. Do programu wchodzą: sadownictwo, warzywnictwo i kwiaciarstwo (10 dni), oraz pszczelnictwo (10 dni). Kursy trwać będą od 10 do 20 czerwca.

— Według wyjaśnienia Senatu, Żydzi mają prawo mieszkania w miejskich osadach włościańskich na gruntach nadanych.

— W Londynie, w St. George Hall, odbyło się zgromadzenie mężczyzn, których żony oddają się pijaństwu nałogowemu. Postanowiono założyć towarzystwo, mające walczyć z klęską alkoholizmu, rozpowszechniającego się coraz bardziej śród kobiet angielskich. Statystyka policyi wykazuje, że w roku ubiegłym na ulicach Londynu znaleziono około 4000 kobiet w wieku lat 17—20, pijanych do nieprzytomności. Uchwalono konieczność uzyskania prawa ułatwiającego rozwód z żoną-pijaczką.

— *Prawo* donosi, iż senat wyjaśnił, że na zasadzie ukazu z d. 19 maja 1900 r., Żydzi nie mogą obejmować godności wicedyrektorów w miejskich bankach publicznych.

— *Illustrirte Landwirtschaftliche Ztng* pomieściło artykuł, którego autor ubolewa, że rolnikom niemieckim trudno jest porozumiewać się z robotnikami przybywającymi z Królestwa Polskiego i Galicyi; narzeka na szkoły, że nie zaradzają temu brakowi i proponuje wydawnictwo odpowiednich podręczników polsko-niemieckich dla praktycznego użytku rolników niemieckich.

— *London Cremation Company* nabyło pod Londynem obszerny plac, na którym ma wznieść wspaniałe krematoryum. Zwyczaj palenia ciał znajduje w Anglii coraz więcej zwolenników.

Szkoły. Ministeryum oświaty zażądało od kuratorów okręgów naukowych wiadomości, jakie potrzeby istnieją dotąd w kierunku wykształcenia ludowego. Fundusz na utrzymanie szkół ludowych ma być w przyszłości znacznie powiększony.

— W uniwersytecie charkowskim d. 27 kwietnia odbyło się zebranie studentów wszystkich kursów, na którem postanowiono powrócić do zajęć naukowych. Obecny na zebraniu rektor uniwersytetu, prof. Lagermark, oświadczył, że w jesieni wszyscy wydaleni studenci będą z powrotem przyjęci. (*Chark. Gub. Wied.*).

— Ministeryum oświaty postanowiło, że nauka rysunków w gimnazyach i progimnazyach nie może być zaliczona do liczby przedmiotów obowiązujących na egzaminach tak przejściowych, jak i ostatecznych.

— Powstał projekt zwołania w ciągu nadchodzącego lata zjazdu profesorów wszystkich uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych w celu rozpatrzenia kwestyj, związanych z reformą szkolnictwa.

— *Prawit. Wiest.* donosi o zwolnieniu od egzaminu piśmiennego osoby, zdające z języków starożytnych.

Statystyka. Według spisu ludności, dokonanego przez biuro statystyczne, Lwów liczy 149,544 mieszkańców. Przyrost dziesięcioletni wynosi 30,192 m. Nadto wojska stałego jest w tem mieście 10,826.

— Tegoroczny spis ludności Londynu wykazuje poważną cyfrę 4,536,34 mieszkańców.

Zjazd chirurgów polskich, dziewiąty z kolei, odbędzie się w Krakowie w drugiej połowie lipca r. b. Jednocześnie ze zjazdem odbędzie się wystawa narzędzi i przyrządów chirurgicznych.

Koleje i komunikacye. Z dniem 14 maja zaczęła obowiązywać nowa zniżona taryfa na przejazd kl. I, II i III w komunikacyi podmiejskiej, za biletami rocznymi, sezonowymi i miesięcznymi.

— Wydano pozwolenie na budowę kolei, mającej połączyć Zgierz z Łęczycą.

— Próby z telegrafem bez drutu odbyły się pomiędzy Kopenhagą i Malmo. Wyniki zadawalające.

Obserwatoryum szkoły politechnicznej we Lwowie prosi każdego, ktoby posiadał jakiekolwiek dane o trzęsieniach ziemi w Polsce w czasach dawniejszych, a przedewszystkiem w latach 1000, 1016, 1200, 1257, 1303, 1348, 1358, 1680, 1785, i 1876, aby przesłało tem zawiadomienie. Obserwatoryum poszukuje również książki Trzcińskiego p. t. „Dyssertacya o trzęsieniu ziemi," wydanej w Krakowie 1787 r.

Ruch kobiecy. Odelsthing norweski uchwalił 68 głosami przeciw 17 uprawnienie kobiet do głosowania przy wyborach gminnych.

— W Szwajcaryi 3,047 związków kobiecych jest czynnych. „La societe des dames de la Féderation" obejmuje 95 filij; zadaniem tego towarzystwa jest praca nad rozwojem i podniesieniem moralnem kobiety oraz walka z zorganizowaną rozpustą. „L'union des femmes" zajmuje się kwestyą pracy i praw kobiety. Członkom swym pomaga w wyszukiwaniu zajęcia, dostarcza im tanich mieszkań, urządza wykłady, zebrania, otwiera czytelnie. Do tego związku należy 3,000 towarzystw. Prócz powyższych dwu głównych stowarzyszeń, których ogniskiem jest Bern, jest ich wiele jeszcze po wszystkich główniejszych miastach Szwajcaryi. W Neufchatel ma siedlisko „Związek przyjaciół młodych dziewcząt" („Union des amis de la jeune fille"), na wzór którego wszędzie już dziś niemal powstały i są czynne filie, nawet za granicą, gdzie zakładają przytułki dla samotnych Francuzek. Taki przytułek (home) założono niedawno w Wiedniu. Od 1897 roku 1,030 Francuzek znalazło tam pomieszczenie.

— W Wiedniu powstało „Stowarzyszenie kobiet zarobkujących," które pośredniczy w wynalezieniu zajęcia, zakłada przytułki, biura wywiadowcze dostarcza obrony prawnej, a chorym daje zapomogę. Głównem zadaniem stowarzyszenia jest tanie i pewne pośrednictwo w wynalezieniu zajęcia. Zwyczajnym członkiem stowarzyszenia może być każda pracująca lub pracy poszukująca kobieta od 16 lat wieku, nadzwyczajnym — mogąca dostarczyć pracy.

— Kobiety w Illinois (Stany Zjed. Ameryki płn.) pod wielu względami zajmują bardziej, niż gdzieindziej, uprzywilejowane stanowisko. Dwie zasiadają w senacie uniwersyteckim: pani Abbot i pani Fowler. Pani A. Emmagene Paul jest inspektorką w wydziale porządków miejskich, doktór Florentyna Hunt — członkiem rady sanitarnej, którą reprezentowała na kongresie międzynarodowym lekarzy w Moskwie 1897 r., na którym była też jedyną przedstawicielką płci swojej.

— Rada państwa w Chrystyanii zreformowała przysięgę ślubów małżeńskich w ten sposób, że oblubienice norweskie nie są zmuszone zobowiązywać się przysięgą do uległości mężowi; będzie to zależało od ich woli — ślubować lub nie, w formie dawniej obowiązującej.

Pożary. Dnia 9 b. m. spłonęła środkowa część miasteczka Góra Kalwarya. Ogień zniszczył 62 domy mieszkalne i około 70 innych zabudowań, nadto dla opanowania pożogi rozebrano kilka domów. Straty tem dotkliwsze, że dotknęły biedną i liczną w tem miasteczku ludność, przeważnie żydowską.

— Następnego dnia rano ten sam żywioł niszczący nawiedził Brześć Litewski. Spaliły się 653 zabudowania, 190 sklepów. Straty poniosło około 20,000 osób na sumę 7 milionów rubli.

— D. 14 b. m. w Pińsku ogień zniszczył w ciągu 9-iu godzin 150 posesyj, mieszczących w sobie około 250 budynków.

Odpowiedzi Redakcyi.

Interesowanej. Cudzoziemki przyjmują i żadnych kwalifikacyj nie żądają, ale nie wydają dyplomów. Mogą mieszkać w zakładzie za opłatą 80 fr. miesię-

cznie; przychodnie płacą 20 fr. miesięcznie. Dobre wychowanie wymagane; w razie przeciwnym dyrektorka może uczenicę wykluczyć. Listy adresować: à la Directrice de l'Ecole professionelle d'assistance aux malades, 10, rue Amyot, 10 Paris.

P. Rekner w Skierniewicach. Już nie potrzebujemy.

Panu Ed. O. Artykuł, o który Sz. Pan pyta, pojawił się w dzienniku paryskim *La Fronde*. W sprawie podręcznika do języka „Esperanto" damy objaśnienie wkrótce.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 4 Мая 1901 г

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8